



Nazwa instytucji

**Książnica Cieszyńska**

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

**Cesarz Oktawian : bardzo ciekawa i zajmująca opowieść z  
wieków średnich.**

Liczba stron oryginału

**148**

Liczba plików skanów

**148**

Liczba plików publikacji

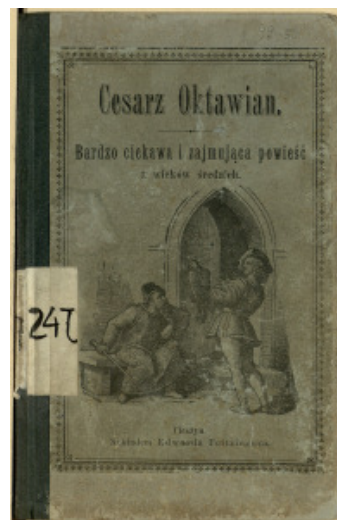
**149**

Sygatura/numer zespołu **C I 034549**

Data wydania oryginału **[1890?]**

Zdigitalizowano w ramach projektu pt.

**Udostępnienie cieszyńskiego dziedzictwa  
piśmienniczego on-line**



**Fundusze  
Europejskie**  
Program Regionalny



**Śląskie.**

**Unia Europejska**  
Europejski Fundusz  
Rozwoju Regionalnego



# Cesarz Oktawian.

Bardzo ciekawa i zajmująca powieść  
z wieków średnich.



Cieszyn.  
Nekładem Edwarda Feitzingera.

247

120



# Cesarz Oktawian.

Bardzo ciekawa i zajmująca opowieść  
z wieków średnich.



Cieszyn.

Nakładem Edwarda Feitzingera.

RE-VAL

884-35L

3-7-52



C0345491



Za czasów panowania króla Dagoberta we Francyi, panował w Rzymie potężny cesarz Oktawian. Miał on bardzo piękną i nadobną małżonkę, która naokół słynęła z swoich cnót i dla tego była przez cały lud rzymski lubianą i uwielbianą. Żył więc cesarz wraz z swoją małżonką szczęśliwie i w pokoju; długi czas jednak nie pobłogosławił Bóg ich związku dziećmi. Przyszła nareszcie dawna upragniona chwila i cesarzowa powiła dwoje synów bliźniąt; piękniejszych i miłszych dzieci nie można było widzieć! Wszyscy cieszyli się więc z tego z wyjątkiem matki cesarza, która już z dawna nienawidziła swój synowój i starała się wszelkimi możliwymi środkami spokój małżeński zakłócić. Po kilku daremnych usiłowaniach, aby wierność cesarzowój podać cesarzowi w wątpliwość, wymyśliła przecież dobrą sposobność; mianowicie namówiła pewnego złego dworzanina, aby niepostrzeżenie wszedł do pokoju śpiącej cesarzowój i tam dozwolił się napotkać przez cesarza, którego tymczasem chytra kobieta do siebie przywołała. Stało się, jak przewidywała; cesarz w wielkim gniewie wyciągnął już miecz, aby nim zabić wiarołomną żonę, gdy nagle powstrzymał się myślą, że we śnie zabijać jój nie

powinien. „Dla czego nie zabijasz jój zaraz“, zawołała matka na cesarza, „czyż ci się nie dość sprzeniewierzyła? Posłuchaj mojej rady i zgładź oboje z tego świata!“ A poprzednio fałszywa niewiasta przyrzekła dworzaninowi, iż mu się nic złego nie stanie. Ale Oktawian odpowiedział matce z godnością: „Nie wypada cesarzowi zabijać kogokolwiek we śnie, nie wysłuchawszy go poprzednio!“ Spojrzał przytém na swoją małżonkę, która z tak spokojném spała obliczem, jak ten, co o niczém złém nie myśli. W téj chwili, gdy cesarz stał przed nią, jakiś ciężki sen trapił śpiącą. Zdawało jój się jakoby wielki lew zbliżał się do niej, rzucił się potém na nią, zerwał jój białą zasłonę i poszarpał w kawałki; nakoniec porywa jój obydwaje dzieci i ucieka z niemi. Wtedy cesarzowa ze snu głośno wołać poczęła: „O Boże! moje biedne dzieci! któż się zemści za mnie na tym lwie okrutnym!?“ Przebudzona własnym krzykiem, otworzyła oczy i zobaczyła stojącego przed sobą cesarza z gołym mieczem w ręku. Ale męża nie obawiała się wcale; trwożliwym wzrokiem obejrzała się tylko za dziećmi, nie pewna, czy się jeszcze przy niej znajdują. Wzrok jój spoczął wtedy na stojącym obok łóżka dworzaninie; przelekła się tedy bardzo i zawołała z przestraczem: „O, wielki Boże! któż mi taką hańbę zgotował? Kto jest ten człowiek? Jam go nigdy nie widziała!“ „Tak? moja ko-

chana pani?“ — rzekła fałszywa matka cesarza — „nie znasz tego człowieka? Toż to jest ten, któregoś dotychczas kochała i teraz podczas nieobecności swojego męża do siebie zawezwać kazałaś! Ale cesarz, dodała, mój pan i syn, dawno się téj zdrady domysłał, za którą teraz ciężko odpokutujesz! O, bezwstydną nierządnico! wyszły przecież na jaw twoje postęпки!“ Nie-szczęśliwa cesarzowa wśród łez i westchnień starała się usprawiedliwić, a sam cesarz patrząc na nią był tak smutny, iż wolałby był raczej umrzeć na miejscu. Rzekł jednak: „Któżby poddawał jeszcze wątpliwości wiarołomstwo swéj żony, gdy ją z obcym mężczyzną w nocy napotka?“ Cesarzowa nie mogła już więcej mówić, poczęła tylko coraz rzewniej płakać; cesarz jednak zgniewał się i nachmurzył bardziej, mówiąc: „Na nic się twoje łzy, kobieto, nie przydadzą, bo twą niesławę własnemi oglądałem oczyma!“ Poczém kazał przywołać rycerstwo i służbę i rzekł do nich: „Widzicie, kochani panowie, bezwstydnny czyn, którego się moja żona dopuściła — dla tego weźcie ją wraz z dziećmi i wrzucie do naj-głębszego więzienia!“ Gdy cesarzowa według rozkazu małżonka wyprowadzoną została a on sam na sam z niecnym dworzaninem pozostał, wpadł w taki gniew, iż go na miejscu mieczem rozsiekął, bez wezwania do odpowiedzialności i wysłuchania. Na drugi dzień zwłoki wyciągnięto

i powieszono na szubienicy. Cesarz następnie zwołał radę, co ma uczynić z niegodną małżonką i dziećmi, które odtąd za swoje przestał uważać; sam postanowił wszystkich troje publicznie spalić. Gdy więc zdanie swoje wynurzył panom zgromadzonym na radę i przedstawił hańbę, którą siebie i jego niegodna małżonka okryła, wszyscy spojrzeli po sobie, każdy jednak bał się pierwszy zabrać słowo. Nakoniec jednak odważył się na to najstarszy z rady, który się zawsze więcej sprawami cesarzowej zajmował niż inni i rzekł: „Miłościwy Panie! Żądacie, abyśmy wydali wyrok na waszą żonę, a przecież uczynek jój nie jest jeszcze udowodniony; nadto nie stoi oskarżona przed nami, abyśmy jój usprawiedliwienie się słyszeć mogli, albowiem jest bardzo możebném, że cała sprawa stała się tylko przez zdradę i podstęp trzeciój osoby!“ Teraz odważył się i drugi i rzekł: „Wspomnij, miłościwy Panie na przysięgę, którąś złożył swój małżonce przy ślubie, że ją ochraniać i bronić będziesz więcej niż samego siebie. Obecny uczynek jój nie jest jeszcze udowodniony i nie wiemy, czy nienawiść i złość nie miały w téj sprawie udziału. Dla tego wejrzyj w nią głębiej, abys lekkomyślnie nie stał się względem żony niewiernym i danój jój nie łamał przysięgi!“ Wszyscy powołani do rady przyjęli tę myśl jednogłośnie; nikt więc nie stał po stronie cesarza, oprócz matki, która nalegała nań ciągle, aby

uwięzioną małżonkę wraz z dziećmi spalić rozkazał. Nieszczęśliwa cesarzowa pieściła tymczasem swe dzieci w więzieniu, zawodząc i płacząc po całych dniach i nocach: „Kochane dzieci, cóżeśmy przewinili względem Boga, że tak niewinnie umierać musimy?“ Po trzech dniach zgromadził cesarz znowu swą radę i żądał od niej, aby wyrok, skazujący cesarzową na spalenie, potwierdziła. Ale wszyscy obecni przejęci tajemną trwogą, rzekli jednozgodnie: „Najmiłościwszy Panie! Sam widzisz dobrze co czynisz! My nie możemy w żaden sposób pobożnej cesarzowej potępić, bośmy nic świadczącego przeciwko niej nie znaleźli; wejrzyj w to Panie, a sam nabierzesz innego przekonania! Jeżeli żądasz od nas rady, to możemy ci dać tylko taką, abyś cesarzową pozostawił w spokoju, a dzieci kazał wychowywać, póki same zbroję udźwignąć potrafią, a wtedy zobaczymy, co z nich być powinno!“ Cesarz zastanowił się długo nad tymi słowami, albowiem dzieci swoje bardzo kochał. Jednak stanął mu znowu na myśli niegodny dworzanin, z którym według jego zdania, kto wie, jak długo rozkoszowała się i w nieprawych związkach zostawała cesarzowa, tak, iż nawet swoje własne dzieci, jako takie nie uznawał. Pospieszył więc do matki, by zasięgnąć u niej rady; ta wyśmiała wszystkie słowa starszych i nalegała usilnie na cesarza, aby matkę i dzieci spalić rozkazał.

Nakoniec i starsi rady panowie zgodzili się na to, widząc, że cesarz jest nieubłagany.

Teraz wzniecono więc ogromny ogień przed miastem Rzymem i trzydziestu siepaczy otrzymało rozkaz wyprowadzić cesarzową wraz z dziećmi z więzienia za miasto. Młodzi i starzy, bogaci i ubodzy, kto tylko przybiegł, aby być świadkiem straszego widowiska, niósł w sercu litość i współczucie dla nieszczęśliwej i dwojga niemowląt. „Kochani ludzie“ — pytała się cesarzowa uprowadzających ją pachołków, gdy zdala wielki ogień zobaczyła — „powiedźcie mi na miłość Bożką, co się ze mną i memi dziećmi ma stać?“ „Biada mi, że ci to powiedzieć muszę“ — rzekł jeden ze służby — „ale ponieważ i tak przed tobą utajonem być nie może, wiedz zatém, że z woli cesarza masz być dzisiaj wraz z dziećmi na tym wielkim ogniu spaloną.“ Usłyszawszy to, przelekła się cesarzowa bardzo, wzniosła oczy i dłonie ku niebu i zawołała: „Wszechmocny Boże! w czémże zawiniłam? Ale jeżeli taką jest Twoja wola, ja jój nie mogę być przeciwną!“ Ta wśród płaczu i modłów stanęła przed cesarzem i innymi panami, którzy jój boleść niemal własnem współczuli sercem. Cesarz, gdy ją tylko zobaczył, rozkazał natychmiast wiarołomną wraz z dziećmi wrzucić do ognia, a przecież w piersi czuł smutek i boleść, jakoby mu serce pęknąć miało; kochał ją bowiem jeszcze bardzo. Nieszczęśliwa

uwięziona upadła teraz przed cesarzem na kolana i poczęła się odwoływać do jego przysięgi. Wszyscy obecni z wzruszenia łez zatamować nie mogli, mianowicie ubodzy, którym cesarzowa codziennie tyle dobrodziejstw świadczyła. Cesarz spojrział także smutnym wzrokiem na płaczącą a z takim spokojem na śmierć idącą żonę i małe niewinne dzieci; żal mu się ich szczerze zrobiło, że długo stał z spuszczoneym wzrokiem i nie wiedział, co ma uczynić; przyszło mu na myśl, że może ją niewinnie traci. W tém matka jego zawołała głośno: „Synu i cesarzu! czemuż wachasz się tak długo? Każ ją coprędziej w obliczu tego ludu wrzucić w ogień, bo już dawno na to zasłużyła!“ Ale cesarz odpowiedział: „Nie, matko, niesłuszne jest twoje zdanie! Gdy wstępowała ze mną w związki małżeńskie, przysiągłem jój, iż ciała jój i życia zawsze bronić będę; przysięgi téj muszę i chcę dotrzymać i dla tego spaloną nie zostanie!“ Tym sposobem uratowała cesarzową przysięga małżonka. „Powstańcie!“ — rzekł — „zlitowałem się nad wami: opuść jednak natychmiast moje państwo wraz z obydwoima dziećmi, bo gdybym cię gdziekolwiek w mym kraju miał napotkać, natychmiast was wszystkich spalić rozkażę!“ Pobożna cesarzowa ochłonęła nieco z trwogi po tych słowach i rzekła: „Panie. jeżeli już tak być musi, to proszę Was, dodajcie mi pocziwego jakiego człowieka za towarzysza,

aby mi się podczas drógi nic złego nie stało! Ale, zaprawdę, mój mężu i panie, przez jakąkolwiek bądź zawiść krzywda ta wyrządzoną mi została, to wiem przecież że z mojej przyczyny ani mój ani twój honor nie został splamiony!“ Ale teraz wszelkie usprawiedliwienie nic nie pomogło. Cesarz odwrócił się, nie mógł bowiem skutkiem łez ani słowa wymówić. Jego małżonka upadła zemdlona na ziemię, a gdy wreszcie przy pomocy obecnych pań podniosła się i przysła do siebie, wzięła dwoje swych niemowląt na ręce i gotowała się do drógi. Z rozkazu cesarza dano jej pięknego i dobrze okulbaczonego konia i sto sztuk złotych pieniędzy. Pięciu szlachetnych rycerzy otrzymało rozkaz, wyprowadzić ją z kraju i dopiero w dzikim i gęstym lesie, pełnym zwierząt drapieżnych, a który na granicy państwa się rozciągał, swemu własnemu losowi pozostawić; zobowiązali się na to przysięgą.

Gdy doszli na miejsce przeznaczenia, rycerze poleciwszy ją Bogu, oddalili się. Cesarzowa podziękowała im serdecznie za dotychczasową opiekę i rzekła: „Pozdrówcie mego kochanego pana a cesarza po raz ostatni odemnie; powiedzcie mu zarazem, że mnie już nigdy nie zobaczy, że dwoje jego synów, którzy rzeczywiście są jego krwią i ciałem biorę ze sobą, a gdy Bóg mnie dłużej przy życiu zachowa, pragnę ich starannie w cnocie wychować.“

Rycerze opuścili ją; cesarzowa została sama i długo namyslała się, w którą ma się udać stronę. Zatopiona w myślach, posuwając się powoli, w krótkce straciła z oczu prawdziwą drogę. Po dłuższém błąkanu się, natrafiła na ledwie widoczną ścieżkę, a idąc za jój śladem, przybyła do wysokiej skały, pod którą biło czyste jak kryształ źródło; po nad niem zwieszało się ciemiste, zielone drzewo, roznoszące balsamiczną woń dokoła. Natychmiast zstąpiła cesarzowa z konia a zdjawszy mu uzdę, dała się napaść do woli ziołami i trawą, obficie tu rosnącą, siana bowiem ni owsa w zapasie nie miała. Nieszczęśliwa zbłąkana rozejrzała się dokoła, a że nigdzie ludzkiej nie zobaczyła twarzy, owładnął nią smutek wielki; uśmiech jednak w krótkce zaigrał na jój ustach, gdy zobaczyła swe maleńkie dzieciątka; ucałowała je w milczeniu i położyła napowrót na pięknym i miękkim kobiercu kwiatów i traw. Potém orzeźwiła się cokolwiek zdrojną wodą i posiliła potrawami, które jój z cesarskiej kuchni przydano; ciężkie myśli o przykrym losie w przyszłości zaprzętały teraz jój głowę i długo dumiała tak siedząc obok swych dzieci, aż wreszcie znużona podróżą, trudami i przykreimi myślami, zasnęła. W lesie tym znajdowało się wiele dzikich zwierząt. Gdy więc cesarzowa obok swych dzieci zasnęła, po nie długiej chwili wysunęła się z gąszczy leśnego wielka i silna małpa i jakiś

czas przypatrywała się z ciekawością mile śpiącym dziatkom. Przyszła jój widocznie chęć, jedno z nich porwać, przybliżyła się bowiem cichutko do niemowląt, ujęła z nich jedno i przyciskając silnie przedniemi łapami, pobiegła z niém w las i stanęła dopiero na nieco większej otwartej przestrzeni. Tu posadziła dziecko i chcąc je zapewne nagie zobaczyć, poczęła je odwijać z chust w które było zawinięte, aż zupełnie nagiem zostało. Teraz siadła sobie obok dziecięcia i poczęła się z nim pieścić i całować je, zupełnie jak matka z własném dziećciem, myśląc, że dziecko również do niej śmiać się pocznie. Omyliła się jednak pod tym względem, bo dziecie zaczęło płakać i krzyczeć niemiłosiernie.

Bóg jednak chciał, aby dziecie nie zginęło marnie, i zrządził, iż właśnie w tym samym czasie i w téj okolicy w lesie, pewien rycerz wraz z swą drużyną zabłądził. Jechał on powoli, poprzedzany przez swoich służbowych, którzy mu ile możności wśród gąszczu torowali drogę i chronili od napadu dzikich zwierząt. W tém, na zakręcie drogi, zobaczył rycerz małą, trzymającą nagie dziecie swemi łapami, rzucił się więc na swym koniu w tę stronę, wyciągnął miecz i krzyknął: „Ej! małpo! połóż to dziecko, bo ono nie do ciebie należy!“ Małpa, ujrawszy rycerza, porzuciła dziecko, ale natomiast rzuciła się nań z całą zręcznością, chcąc go z konia zrzucić, lecz

urwała mu tylko kawałek odzienia. Rycerz zaś, który był dzielny i nieustraszony człowiekiem, wymierzył tak dobre cięcie swym mieczem, iż prawą łapę małpie odciął od ciała; ranione zwierzę podskoczyło jak szalone dziesięć może stóp wysoko z bólesci, ale koń wtedy kopytem tak silnie uderzył w bok, iż upadła bez ruchu na ziemię; rycerz zeskoczył wtedy z konia, uciął małpie głowę, a ująwszy dziecko, zawinął je, o ile można najtroskliwiej w swój płaszcz i siadł napowrót na wierzchowca. W krótcie dognał swoich towarzyszków i ku ich zdumieniu opowiedział im całe zdarzenie, poczem jechali dalej przez las, jakkolwiek ani drógi ani najmniejszej ścieżki nie mieli przed sobą. Błąkając się ciągle wśród gęstwiny leśnej, naraz obskoczeni zostali ze wszystkich stron przez zbójców, którzy w tém miejscu zapewne nie jednego już człowieka zamordowali i obdarli. Rycerz nasz zobaczywszy się w takim niebezpieczeństwie, wezwał najpierw Boga na pomoc, a potem dobywszy miecza, uderzył dzielnie na zbójców; jednemu z nich silnym zamachem odciął głowę a trzech innych poranił tak mocno, iż bronią władać nie byli w stanie. Gdy to zobaczyli pozostali zbójcy, a było ich sześciu, zawołali na rycerza, aby złożył broń i oddał im dziecko, albowiem pewnie porwał je jakiemu potężnemu księciu; rycerz jednak odrzekł: „Nie, łotry! jeżeli chcecie prawdę wiedzieć, to wiedźcie żem

dziecko to porwał małpie; mogę wam nawet wskazać miejsce, gdzie ubiłem to zwierzę!“ Teraz tém bardziej upewnili się zbójcy w swém mniemaniu, że dziecko to być musi jakiegoś wielkiego pana, kiedy rycerz tak upornie kłamie; uderzyli więc na nowo i postanowili raczej umrzeć, niż dziecko w rękach rycerza zostawić, tak iż w końcu rycerz i jego otoczenie, chociaż dotąd bronili się zacięcie, nie widzieli innego ocalenia, tylko w ucieczce, dziecko na łup zbójców zostawiwszy. Ci gonili ich czas jakiś, jednak bez skutku; powrócili więc do dziecięcia i rzucili losy, komu ono w dziale przypadnie. Los padł na jednego z najzamożniejszych zbójców, który też zaraz wziął dziecko na ręce i niósł je, póki się nie zmęczył. Wtedy rzekł do swoich towarzyszy: „Kochani przyjaciele! Dajcie mi radę, co mam z tém dziecięciem począć? Jego piękność każe się domyślać, że nie nizkiego jest pochodzenia. Ja myślę, aby je zanieść aż na wybrzeże morskie i tam sprzedać. Liczni kupcy z Francyi i innych krajów, których tam napotkamy, pewnie nam dobrze zapłacą!“

Zbliżając się nad wybrzeże morskie, natrafili po drodze zbójcy na miejsce, gdzie leżała zabita małpa. „Słusznie!“ — mówił wtedy jeden do drugiego — „prawdę powiedział nam ów rycerz; widocznie sam to dziecko odbił małpie zwycięzko.“ Pospieszyli jednak nad brzeg morski.

z dzieciąciem, bo cóż innego z nim uczynić mieli? Tu kupcy sami pierwój jeszcze ich się zapytali, czy dziecięcia tego chcą się pozbyć. „Właśnie w tym celu tuśmy je przynieśli!“ — odpowiedzieli zbójcy. Wychwalając jego piękność, żądali zań czterdzieści funtów, co kupcom wydawało się nadzwyczaj drogo. „Zatrzymajcie je sobie“ — rzekli — „gdyście je skradli jakiemuś biedakowi.“ „Nie“ — odpowiedzieli zbójcy — „odebraliśmy je rycerzowi, który je znowu z rąk mały ocalił, zabijając ją.“ Kupcy ofiarowali wtedy sumę dzieściu funtów, ale zbójcy za tak małą kwotę dziecka się pozbyć nie chcieli. Pomiedzy wielu ludźmi na tymże okręcie kupieckim, był jeden pobożny pielgrzym imieniem Klemens, któremu się to dziecko bardzo spodobało i z rysów jego twarzy odgadł, że z wysokiego musiało pochodzić rodu. Od pierwszego też wejrzenia tak pokochał je, iż po krótkim targu z zbójcami, nabył je od nich za trzydzieści koron. Inni kupcy widząc to drwili sobie z Klemensa, mówiąc: „Musicie mieć wiele pieniędzy, jeżeli tak drogo kupujecie!“ Klemens jednak nie zważał na to. Dopiero gdy okręt zawinął do miejsca przeznaczenia i pielgrzym wraz z kilku innymi miał pieszo dalszą odbywać drogę, przyczem chłopca nieść musiał na plecach, począł swoich pieniędzy żałować. „Co za głupi człowiek ze mnie“ — mówił sam do siebie — „kupować sobie dziecko, aby potem tak niepotrzebny

ciężar na własnym karku dźwigać!“ Ale wnet pomyślał sobie: „Bóg mi widocznie to dziecię nadarzył, wezmę je więc! W domu mam tylko jednego syna; zostawiłem go wprawdzie przy żonie, ale nie wiem, czy go za powrotem przy życiu zastanę. To dziecię także piękne, w domu mam dosyć pieniędzy, aby je wychować — niech więc zostanie!“ Wziął więc chłopca, pocałował, zawiesił napowrót na barkach i poszedł dalej swoją drogą przez Francją. Gdy mu się taka podróż z dziećciem stała zbyt uciążliwą, kupił po dródze osła i posadził nań dziecię, przydał mu nadto opiekunkę, którą najął w pewnej gospodarstwie i tak jak koczujący cygan podążał najbliższą drogą ku Paryżowi. Ani w dzień ani w nocy nie miał spokoju, póki nie stanął w tém mieście. Tutaj wszyscy znajomi witali go serdecznie, mianowicie najszczersi przyjaciele, a gdy go pytali, zkąd wziął to dziecię, odpowiadał: „Zdobyłem je po tamtéj stronie morza; matka jego umarła wśród drogi, musiałem więc doń nająć tę kobietę, choć z innego pochodzi kraju; gdyby matka była żyła, wolałbym ją niż obcą!“ Tak mówił pocziwy Klemens z uśmiechniętym obliczem i ciągnął dalej na przedmieście St. Germain, gdzie się znajdowało jego mieszkanie. Żona powitała go z radością, a o dziecię nie pytała nawet, była bowiem pewną, że pewnie jaki znakomity pan francuzki dał je jój mężowi na

wychowanie. Życie więc dalej wiedli spokojne, dziecię dali ochrzcić, przyczém nadano mu imię Florensa i wychowywali je troskliwie w skromności i cnotach. Florens był też piękny i dzielny, rósł zdrowo i w krótkim czasie spotęźniał i wzmoćnił się fizycznie i moralnie. Ale o nim na teraz dosyć już powiedzieliśmy.

---

Opuściliśmy cesarzową, gdy napiwszy się wody źródlanej zasnęła, a w czasie snu jój mała porwała jedno dziecię. Cesarzowa nie wiedząc o niczém spała dalej, gdy obok przebiegła lwica, a zobaczywszy śpiące dziecko porwała je w paszczę, aby swym młodym zanieść na pożarcie. W téj chwili przebudziła się cesarzowa, a ujrzawszy oddalającą się z jój dziecięciem lwicę, nie widząc przy sobie drugiego, sądziła, że już poprzednio zostało rozszarpaném. Zaczęła więc rozpaczliwie płakać i narzekać, poczém założywszy koniowi uzdę, siadła nań i poprzysięgła sobie wprzód nie spocząć, póki lwicy nie wytropi i na nią śmierci dwojga swych dzieci nie pomści. Lwica jednak biegła przed cesarzową aż na sam koniec lasu i to tak szybko, iż ta nie mogła jój dognać i w króćce zupełnie utraciła z oczu. Ale i lwica drogo swoją zdobycz okupić musiała. Zaledwie bowiem wybiegła z lasu, zobaczył ją olbrzymi sęp, jaki tylko w tych okolicach się znajduje, a który nawet lwa unieść jest w stanie; spuścił

się też z błyskawiczną szybkością na lwicę i z przerażającą siłą utopił w niej swe pazury tak nagle, iż wcale bronić się nie mogła, zwłaszcza, że dziecię z paszczy wypuścić nie chciała. Sęp podniósł skrzydła, począł nimi robić z całej siły, leciał po nad góry i doliny, lasy i wody i zmierzzał do oddalonej izolowanej wyspy. Lwica jednak i w czasie téj nadpowietrznej podróży nie puściła dziecięcia, lecz trzymała w swój paszczy, aż nareszcie sęp spuścił się wraz z swą zdobyczą na wyspę. Teraz dopiero, widząc bezpieczne miejsce, położyła lwica dziecię na miękkim piasku, aby mogła skuteczny opór stawić napastnikowi. Chwycała go też w największym gniewie za tylną nogę z taką siłą, iż złamała ją na dwoje. Ptak upadł z boleści na ziemię, jednak bronił się, ile mu siły starczyły; rzucił się na lwicę jak wściekły z całą mocą swych szponów, ale to nic nie pomogło. W krótkce został pokonany; rozżarta lwica rozszarpała go i poczęła sycić swój głód jego mięsem. Nasyciwszy się, położyła się przy dziecku, jak przy własném młodem. Niemowlę natrafiło tymczasem na brzuch lwicy i instynktownie niemal przyłożyło usta do ssawek i poczęło ssać. Lwica, widząc to, sama troskliwie poczęła karmić dziecię, dając mu się nassać do woli. Tym sposobem więc dziecię nakarmiło się i ocaloném zostało od śmierci głodowej, bo Pan Bóg nie chciał, aby zginęło i miał je w Swój opiece.

Potém wykopała lwica swymi pazurami jamę na wyspie i złożyła w nią dziecię, przy boku jego zostając przez ośm dni i nocy. Lizała je swoim językiem, aby było czyste, własną grzywą podścielała mu łóżko, aby mu było miękko i ciepło. Pić mogło, kiedy chciało, a kiedy lwica była głodną, syciła się ścierwem sępa.

Opatrzność zrządziła tymczasem, że pewni żeglarze, których wiatr niepomyślny zapędził aż w te strony, zmuszeni byli wylądować na wybrzeże, na którém nieszczęsna cesarzowa szukała swego dziecka i lwicy. Usłyszawszy głosy, pobiegła nad brzeg i zobaczyła jak pielgrzymi jacyś statek swój w stronę lądu zwracali. Żeglarze ci wydawali jój się być chrześcijanami, dla tego też przybliżyła się do nich i rzekła: „Kochani ludzie dokąd jedziecie? Ja przybywam z dalekich krajów — jestem biedną zbłąkaną niewiastą i nie wiem, gdzie jestem i dokąd mam się udać!“ „Niewiasto!“ — odrzekli żeglarze — „my zdążamy jako pielgrzymi do Ziemi świętój, kędy Zbawiciel nasz Jezus Chrystus żył i umarł; jeżeli nam wiatr nie przeszkodzi, to nie przestaniemy żeglować, aż dopłyniemy do Jerozolimy.“ Wtedy biedna kobieta usilnie prosić poczęła podróżnych, aby ją wzięli ze sobą, aż wreszcie ci zgodzili się na jój żądanie i pozwolili jój wejść do galery, a gdy wreszcie morze uspokoiło się znowu, wyruszyli w dalszą drogę. Podróżni w krótce po-

czeli sprzyjać obcej niewieście — była bowiem bardzo piękną i nalegali na nią, aby im opowiedziała, jakim sposobem dostała się na to dzikie i puste wybrzeże. Cesarzowa nie opierała się też długo i poczęła bez najmniejszego zatajenia opowiadać im swoje przygody i kim jest i co się stało z jej dziećmi. Opowiadanie trwało kilka godzin, a wszyscy słuchający zdumiewali się nad tak dziwnym losem nieszczęśliwej kobiety.

Płynęli nasi podróżni już sporą chwilę i wielki zatém kawał drogi morskiej odbyli; właśnie przepływali około wyspy, na którą sęp zaniósł lwicę wraz z dzieckiem, gdy niepomyślny wiatr zmusił ich, aby na jej brzeg zarzucili kotwicę. Między podróżnymi było kilku śmielszych, którzy odważyli się wstąpić na ląd, aby się nieco rozejrzeć. Błąkając się tam i napowrót, natrafili na grote, w której lwica właśnie spała. Jakież było ich zdziwienie, gdy obok niej spostrzegli niewymownej piękności dziecię; nie mieli jednak dosyć czasu głębiej się nad tém zastanowić, bo w téjże chwili lwica przebudziła się i z przeraźliwym rykiem, nagłym skokiem rzuciła się ku pielgrzymom, którzy zaledwie zdołali ostatnimi resztkami sił, prawie bez oddechu, jak ścigane zwierzęta, dobiec do okrętu. Tu opowiedzieli pytającym ich o przyczynę tego przestachu całe zdarzenie, żałując przytém, iż dziecka wyratować nie mogli. „Bo choć go lwica strzeże i chroni“ —

mówili — „to młode lwiąta, które wnet na świat porodzi, zjedzą je niezawodnie.“ Gdy cesarzowa usłyszała to opowiadanie pielgrzymów, złożyła ręce i zawołała: „Bogu niech będą dzięki za tę wiadomość! Moje to bowiem jest dziecko, które mi lwica porwała! Puśćcie mnie! Ja muszę je uratować!“ Słyszając to pielgrzymi, chcieli ją odwieść od tego zuchwałego zamiaru, przedstawiając jej śmierć niechybną, na którą się naraża. „Zlituj się sama nad sobą“ — mówili — „i powierz dziecko swemu losowi; lepiej przecie, gdy zginie jedna ofiara, niż dwie!“ Gdy jednak cesarzowa silnie trwała przy swém postanowieniu i pielgrzymi widzieli, że do ich rady nakłonić się nie da, nie próbowali już jej perswadować i rzekli: „No, jeżeli już chcesz iść koniecznie po tę śmierć, co cię tam czeka, to wypowiadaj się wprzód u tego kapłana, co jest z nami i wezwij Boga na pomoc, a i my ci swoje dajem błogosławieństwo.“ Cesarzowa usłuchała téj rady, uklękła przed mnichem i wypowiadała się, a otrzymawszy rozgrzeszenie, prosiła pielgrzymów, aby jakiś czas jeszcze na nią przy brzegach poczekali i wstąpili na ląd.

Nie długo potrzebowała cesarzowa szukać grotty, ta bowiem w samym środku wyspy się znajdowała. Przestach, boleść i tajemna radość opanowały ją zarazem, gdy zobaczyła swe dziecko śmiejące się i wesoło bawiące się z lwicą. Bezwiednie tedy upadła na kolana i poczęła drzą-

cemi usta zaklinać zwierzę i wołać: „Przez Boga Wszechmogącego i Syna Jego jedyne, co za nas śmierć poniósł krzyżową, mówię ci, iż nie masz prawa nad mojem dziecięciem! Wróć mi je, oddaj mi je!“ Słowa te dziwny a niewypowiedziany wywarły skutek. Lwica bowiem, jak gdyby je zrozumiała; opuściła ogon, stała się potulną, jak chowane zwierzę domowe i dziecko delikatnie, powoli złożyła przed sobą na ziemi, poczem oddalać się poczęła. Cesarzowa pospieszyła tedy coprędzej do jaskini, ujęła dziecko, a okrywszy je tysiącami pocałunków, zwróciła się ku okrętowi. Lwica, widząc iż dziecko jój zabrano, nie chciała go przecież opuścić i postępowała z spuszczoną głową, smutna za cesarzową i chciała wraz z nią nawet do okrętu się dostać; pielgrzymi jednak drżąc o swoje życie, postanowili użyć broni i nawet cesarzowej na okręt przyjąć nie chcieli, gdy jednak opowiedziała im, jak łagodnem jest to zwierzę, nie bronili już jój samój wstępu na pokład. Prędko odbili od brzegu, co widząc lwica, chciała wskoczyć, ale skok się nie udał i wpadła do wody. Płynęła jednak ciągle wytrwale około okrętu, aczkolwiek pielgrzymi podnieśli żagle i całą siłą wiatru płynęli. Nie chciała widocznie dziecięcia opuścić, bo przyczepiwszy się silnie ostremi pazurami i zębami do boku okrętu kilkakrotnie usiłowała nań wskoczyć, co się jój wreszcie udało. Niewysłowny

przestrach padł teraz na pielgrzymów; każdy z nich widział się zgubionym. Rzucili się przeto wszyscy ku cesarzowej, wołając: „Ratuj nas, ratuj od nieszczęścia, któreś na nas sprowadziła, inaczej ciebie wraz z dzieckiem wrzucimy do morza!“ „Nie bójcie się“ — spokojnie odparła cesarzowa — „lwica nikomu z was nic złego nie uczyni!“ I rzeczywiście przeszła lwica środkiem pomiędzy struchlałymi pielgrzymami zupełnie spokojnie, jak pies, aż doszła do cesarzowej, na której łonie zobaczywszy dziecko, wzniosła ku niemu swe oczy, jakby dla okazania, że je zna. Potem położyła się u nóg cesarzowej i ani na krok opuścić jej nie chciała. Szczęśliwa matka pokochała też zwierzę i miała oń wszelkie staranie, dostarczała mu pod dostatkiem żywności i napoju, które z zapasów okrętowych nabywać mogła. Lwica też, jakby pragnąc się za to odwdzińczyć, chroniła swą panią od wszelkiego złego, któreby ją ze strony żeglarzy spotkać mogło, albowiem i między nimi kilku złych ludzi się znajdowało. I gdy też pewnego razu jeden niegodziwiec w uwłaczający sposób przybliżył się do cesarzowej, lwica pochwyciła zuchwałego śmiałka pazurami i ostremi zębami i rozszarpała go na cztery części. Gdy żeglarze zobaczyli to, przyznali jednozgodnie, iż stało się słusznie nie-dobremu człowiekowi i wrzucili jego rozszarpane zwłoki do morza. Od téj chwili nie doznała ce-

sarzowa najmniejszej krzywdy, owszem wszyscy współtowarzysze drogi okazywali względem niej wielkie uszanowanie. Tak przybył okręt do wybrzeży Ziemi świętej. Tu wysiadła cesarzowa z swoim dzieciąciem, a lwica natychmiast wyskoczyła za nią na ląd. Pobłogosławiwszy pielgrzymów i żeglarzy, ofiarowała im dostojna pani hojną nagrodę. Żeglarze podziękowawszy serdecznie, wyprowadzili ze statku konia i pomogli jej nań wsiąść. Tak pojechała cesarzowa z dzieciąciem na rękę jeszcze tej samej nocy dalej i do następnego miasta; pielgrzymi postępowali z daleka. Na drugi dzień połączyli się razem i tak przybyli nareszcie do celu podróży, do Jerozolimy.

Tu pospieszyła cesarzowa do świątyni Pańskiej, i modliła się długo u Grobu świętego, w którym został Zbawiciel nasz przez Nikodema pochowany i z którego później chwalebnie zmartwychwstał. Położyła nawet dziecię na ołtarzu i złożyła zań hojną ofiarę Bogu, jak gdyby chciała powiedzieć: „Bogu Wszechmocnemu niech będzie chwała, żeś dziecię moje znowu odnalazła i wybawiła!“ Potem prosiła Boga szczerze, aby jej kochanego męża, cesarza Oktawiana, którego już więcej zobaczyć nie miała nadziei, długo przy życiu i szczęściu zachował. Opuściwszy nareszcie świątynię, wsiadła z swym dzieciąciem na koń i jechała przez ulice Jerozolimy; lwica postępo-

wała za nią wszędzie, gdziekolwiek stąpiła, nawet do kościołów i pałaców, co patrzących nadzwyczajną przejmowało trwogą. Przejeżdżając przez miasto, napotkała cesarzowa pewnego obcego mężczyznę, a widząc iż szlachetność przebijała się w jego rysach, prosiła go o schronienie u siebie. Nieznajomy przystał na to chętnie i przyjął ją uprzedzająco w swym domu, rozkazując wszystkim, aby ję takie same, jak panu i pani domu okazowali uszanowanie. Grzeczność tę przyjęła cesarzowa z wdzięcznością i pozostawała w gościnie u szlachetnego obywatela przez dłuższy czas, wraz z dziecięciem i lwicą, która była zupełnie łagodną i nikomu nic złego nie uczyniła.

---

Przypominacie sobie, jak Florens odebrany od małpy wędrował za morze, a sprzedany dostał się w ręce pobożnego pielgrzyma Klemensa, który go zawiózł do Paryża. Wypada teraz coś o jego dalszych losach powiedzieć. Wychowany cnotliwie pod opieką kochających go osób, wyrósł na chłopca i wszystkim się podobał. Klemens ubierał go jak własnego syna, któremu było „Klaudyusz“ na imię. Gdy obaj chłopcy w świąteczném ubraui, grzecznie i spokojnie szli przez ulicę, aż radość było na nich popatrzeć; to też wszyscy sąsiedzi zazdrościli Klemensowi. Florens nie myślał inaczej, jak tylko, że Klaudyusz jest jego rodzonym bratem, a Klemens prawdziwym ojcem,

bo gdy go mała od matki porwała, miał dopiero około siedmiu tygodni. Przewyższał on Klaudyusza wzrostem i siłą, a nawet i między dziećmi sąsiadów nie było żadnego, które by się z nim mierzyć mogło. Każdy zdumiewał się nad piękną postawą Florensa, albowiem wzrostem dorównywał niemal swemu ojcu cesarzowi. Sąsiedzi mówili też często: „Doprawdy! ten chłopiec nie może być naturalnym synem Klemensa, ale go pewnie jakiemuś znacznemu panu wprowadził tajemnie!“ Aczkolwiek żona Klemensa słyszała dobrze te powątpiewania, milczała jednak zawzięcie, bo kochała Florensa, jak swego własnego syna.

Ponieważ chłopcy sporo już podrośli i zmężnieli dostatecznie, aby jakiegoś rzemiosła się wyuczyć, postanowił Klemens naradzić się z żoną, co z nimi począć, aby im na przyszłość kawałek chleba zapewnić. Żona, namysliwszy się nieco, odrzekła, że najlepiej będzie Klaudyusza oddać do kupca, aby się w tym zawodzie wydoskonalił, bo z natury słaby i chorowity do żadnego ciężkiego rzemiosła nie jest zdolny, a tym sposobem także może się dorobić majątku; Florensa, który, jak już wspomnieliśmy, był nadzwyczaj silnym, radziła roztropna kobieta, kazać wyuczyć rzeźnickiego rzemiosła, dlań bowiem zabijanie wołów i innego bydła nie sprawi żadnej trudności. „Tym sposobem“ — zakończyła — „zabezpieczymy ich

oboje!“ Klemens przyjął chętnie tak przekonywujące zdanie żony, téj saméj jeszcze godziny kazał przywołać przed siebie obydwóch synów i tak się do nich odezwał: „Kochani synowie! Uważajcie dobrze, bo powiem wam radę, za którą powinniście pójść, jak posłusznym dzieciom przystoi; chcę bowiem dzisiaj rozporządzić o waszym przyszłym losie!“ Następnie zwrócił się do syna swego Klaudyusza i tak rzekł do niego: „Kochany synu, usłuchaj mego polecenia! Jutro pójdziesz do kupca, który będzie cię uczył zmieniać monety i pieniądze i innych interesów i czynności handlowych, a gdy się przyłożysz z pilnością do pracy, zostaniesz z czasem również tak biegłym jak i on w swém zatrudnieniu człowiekiem i dorobisz się majątku.“ „Z całego serca, chętnie mój ojciec, pójdę za twoją wolą“ — odparł Klaudyusz — „ale byłoby mi bardzo przyjemnie, gdybyś ze mną posłał zarazem i brata Florensa, on także zostałby kupcem, jak ja!“ „Nie, mój kochany synu“ — rzekł ojciec — „dla niego obrałem już inny zawód, który go prędzej jeszcze uszczęśliwi i zadowolni; widzisz przecie, jak jest silnym i dobrze zbudowanym — on mógłby utuczone wieprze na plecach nosić, jego też pragnę temu fachowi poświęcić!“ Uspokoiwszy tymi słowy Klaudyusza, przywołał Klemens przed siebie Florensa i położywszy mu rękę na ramieniu, tak doń przemówił: „Florensie! kochany mój synu,

słuchaj mnie dobrze i zrób co ci powiem; wiesz przecie, że cię kocham i szczęścia twojego pragnę i dla tego właśnie obrałem ci rzemiosło, które dla ciebie jest jak najodpowiedniejszém. Jutro, gdy wstaniesz, dam ci pieniędzy, z którymi pójdziesz do rzeźnika i dasz mu je, aby cię swego fachu nauczył. To jest zajęcie, jakby umyślnie dla ciebie, bo jesteś tak silny, iż zdaje mi się, że potrafiłbyś woła za rogi w biegu powstrzymać. Dam ci nadto dwa utuczone woły, któreś widział w naszej oborze; z nimi pójdziesz do rzeźalni, gdzie ci twój majster pokaże, jak masz z nimi postąpić, poczem zaniesiesz je na właściwe miejsce do rąbania i sprzedaży. Bądź uważny, zręczny i pilny, nie czyni nikomu krzywdy, a zrobisz z jednego grosza trzy i dorobisz się majątku!“

Florens również zgodził się chętnie na propozycję Klemensa i okazał gotowość do czynienia tego, co rozkaże. Ze wschodem słońca wstał więc Klemens, obudził Klaudyusza a dawszy mu sporo złota i pieniędzy — posłał go między wekslarzy, aby tam pieniędzmi robił przedsiębiorstwa i zyskał. Potém obudził drugiego syna Florensa, pomógł mu dwa tłuste woły za rogi powiązać i posłał go z niemi do jatek rzeźniczych. Tutaj pierwszego napotkanego parobka, zapytał się Florens o rzeźnika Gumbrechta. Parobek zobaczywszy przed sobą dzielnego chłopca z dwoma wielkimi wołami, zapytał się go, na co potrzebuje

majstra, czy sam może myśli zostać rzeźnikiem? „Dlaczego nie?” — odpowiedział szybko Florens — „mam bogatego ojca i ten mnie już zaopatrzy dostatecznie, abym miał zawsze pod dostatkiem wołów, wieprzów, baranów i owiec do zabijania — i to właśnie jest powodem, że się tego rzemiosła chcę nauczyć. Ojciec powiedział mi nadto, że z jednego grosza zrobię trzy i zawsze jeść będę smaczne potrawy, jak zwyczajnie rzeźnicy jedzą, dobre pić wino białe i czerwone i na niczem mi zbywać nie będzie! Tak mi powiedział ojciec — dla czegoż więc nie mam zostać rzeźnikiem?” Parobek rzeźnicki usłyszał te słowa, rozśmiał się na całe gardło, drwiąc sobie z młodzieńca i rzekł: „Czy djabli cię tutaj przynieśli? i ty chcesz być rzeźnikiem? Staraj się, abyś nigdy rzeźnickiej ławy nie zobaczył — a tymczasem wynoś się coprędzej na złamanie karku, pókiś cały!” Florens pomyślał sobie wtedy w duchu: „Na taki sposób nigdy rzeźnickiego rzemiosła się nie nauczę; najlepiej będzie, gdy przyjdę tutaj z ojcem, bo on mi już pewnie odpowiedniego majstra wynajdzie!” I pognął swoje woły w stronę ojcowskiego domu. W połowie drogi zobaczył naprzeciw siebie jadącego na koniu myśliwca, na którego rękę siedział piękny, wielki sokół z błyszczącymi na nogach pierścieniami. Ptak ten tak spodobał się Florensowi, iż postanowił go posiąść, za jakąkolwiek bądź cenę.

Przystąpił więc do jeźdca i zapytał się go, czy przypadkiem nie pragnie się pozbyć sokoła, sam da mu zań, co tylko zażąda. Dostojny pan zgniewał się na Florensa, będąc pewny, że sobie tylko drwi z niego albo żartuje, nie spodziewał się bowiem, aby mu był w stanie za niego zapłacić. Rzekł przeto: „Idź, głupcze sobie precz! Patrz lepiej swoich wołów, abys je zabił a mięso z nich dobrze sprzedał — to twoja rzecz, o tém masz myśleć!“ — „Ach, mój kochany panie“ — odparł Florens — „woły zabijać nie jest mojem rzemiosłem! Dla tego sprzedajcie mi waszego sokoła, co wart jest, ja wam chętnie dam za niego!“ Zaciekawiony tém postępowaniem młodzieńca rycerz pomyślał sobie w duchu, iż nie zaszkodzi zeń zażartować, głośno zaś rzekł: „Sprzedam ci mojego sokoła, ale nie inaczej, tylko za twoje dwa woły, a i to nie czynię z wielką chęcią, bo wolałbym go sobie zatrzymać!“ Florens ucieszył się tém niezmiernie i pomyślał sobie: „Jeżeli tylko dwa woły zań żąda — to cóżto, jest wiele? O, sokół musi być moim!“ Niedługa upłynęła chwila i targ przyszedł do skutku. Florens wziął ptaka a rycerz pognął przed sobą do domu woły, śmiejąc się w duchu, iż z myśliwego stał się poganiaczem bydła! Florens zaś niosąc ptaka, mówił do siebie: „Doprawdy! dzisiaj musiałem wstać o szczęśliwej godzinie, że mi się taka wyborna nadarzyła sposobność zamiany; toż ptak ten wart

jest z pewnością najmniej 100 złotych. Ach, jakże się mój ojciec ucieszy, gdy mnie zobaczy niosącego ptaka na dłoni, jak to tylko znakomici panowie czynić zwykli “ Przechodnie, którzy widzieli tę zamianę, śmiali się i drwili sobie z Florensa; ten jednak nie robił sobie nic z ich zachowania, cieszył się bowiem swym ptakiem, iż nie miał czasu zważać na co innego. Z okrzykiem radości wstąpił nareszcie do domu swego ojca. Klemens siedział właśnie przed drzwiami na ławie, wsparty na lasce i rozmyślał nad losem obydwóch swych synów. „Mój syn Florens“ — myślał — „zabił już pewnie oba woły; tego popołudnia będzie już je sprzedawał i zarobi na nich niezawodnie a że wprawi się później w swoje rzemiosło i będzie rzetelnym, tego mogę być pewnym!“ Dumając tak, podniósł przed siebie głowę i zobaczył powracającego Florensa z ptakiem na ręku. „Co to za ptak?“ — zawołał natychmiast — „z kąd go przynosisz, gdzie są twoje woły?“ „Kochany ojcze! ciesz się“ — odrzekł Florens — „ja moje dwa woły dałem w zamian za tego ptaka. I ty pewnie nie pożałujesz tej zamiany, bo takiego pięknego ptaka nigdy jeszcze w życiu nie widziałeś!“ „Co“ — krzyknął Klemens — „czyś zwaryował lub żartujesz?“ „Ależ na Boga, mówię prawdę“ — odparł Florens — „dałem woły za tego ptaka i nie drwię z ciebie wcale. Poradźcie mi raczej ojcze,

gdzie go mam umieścić, aby mu się nic złego nie stało — sędzę, że w twoim pokoju będzie mu najlepiej.“ Teraz Klemens nie miał co wątpić, że zamiana ta odbyła się istotnie, wpadł więc w wielki gniew i krzyknął: „Łotrze jakiś! gdybym na samego siebie zważać nie potrzebował, tobym ci tym kijem, co go w ręku trzymam, na miejscu głowę roztrzaskał; głupcze! taki mi towar do domu przynosisz — czy myślisz, że jestem myśliwym?“ „Ale drogi ojcze“ łagodnym głosem uspokajał go smutny tym obrotem rzeczy Florens — „nie macie się o co gniewać! Spojrzyjcie tylko na pióra tego ptaka, a poznacie, jak wielkiój musi być wartości!“ Klemens ledwie, że gniew swój pohamować umiał. „Idź więc“ — rzekł — „i troszcz się o twojego ptaka — a on cię zapewne zbogaci. — Ale nie jedz nic przytém, dopóki sobie za pomocą niego nie zarobisz — a wnet pożałujesz tego kupna!“ Wreszcie musiał mu Florens opowiedzieć całe zdarzenie w rzeźalni a usłyszawszy jego naiwne opowiadanie, musiał się Klemens uspokoić, a ochłonawszy się nieco z gniewu, pomyślał: „Ja tego chłopca już do rzeźnika nie pošę, ale także do handlu z pieniędzmi, może mu tam lepiej pójdzie!“

Klaudyusz tymczasem dobrze załatwił swoje interesa w handlu spekulacyjnym i właśnie powracał do domu, nie wiedząc nic o przygodzie z sokołem. Gdy więc Klemens zdołał nieco swą

szkodę przeboleć, zwrócił się doń i rzekł: „Musisz, mój kochany synu, wziąć z sobą do kupców i Florensa, bo zdaje mi się, że z rzeźnictwem dobrze mu się nie powiedzie!“ Klaudyusz zgodził się chętnie na to i ofiarował się być bratu we wszystkim pomocnym. „I on tobie pomocnym będzie“ -- dodał Klemens -- „jest silnym, może ci więc worek z pieniędzmi rano i wieczór nosić!“

I z początku szło Florensowi w nowym zawodzie wcale dobrze; Klaudyusz nauczył go najpierw rachować zdawkową monetę i poznawać różne pieniądze. Tak minął miesiąc i Klemens był już o synów swych zupełnie spokojnym. Wczesnym rankiem wychodził najpierw Klaudyusz z domu na plac targowy, zamówił miejsce i wszystko potrzebne przygotował, poczem dopiero, gdy się zupełny dzień zrobił, przychodził Florens z workiem pieniędzy do brata. Długo szło wszystko tym porządkiem, gdy pewnego pięknego poranku Florens niosąc jak zwykle worek pieniędzy, w którym około 600 funtów sztuk złota się znajdowało, przy moście napotkał kupca, prowadzącego przepysznego rumaka na sprzedaż. Wierzchowiec ten spodobał mu się zaraz pierwszej chwili tak bardzo, iż pomyślał sobie: „Jakże szczęśliwym musi być ten człowiek, co posiada tak ślicznego konia i władać nim potrafi! Czemuż ja bym nie miał go nabyć? mam dosyć pieniędzy w worku, które i tak dotąd bezpożytecznie

w skrzyni ojca leżały; kupię go sobie!“ Co pomyślał to i zrobił. Pozdrowił uprzejmie kupca i zapytał się go, czy konia przypadkiem nie chciałby odprzedać? „Mam przy sobie pieniądze, zapłacę przeto zaraz. Powiedzcie mi więc jedném słowem, ile zań żądacie?“ „Taniéj nie dam ci go jak za trzydzieści koron; jest młody i silny, biega szybko i wytrwale.“ Florens ucieszył się, że mu kupiec tak tanio konia sprzedać pragnie i rzekł: „Żartujecie chyba, że tak piękne zwierzę chcecie mi za tak małą oddać sumę. Nie chcę, abyście przezemnie mieli ponieść stratę — daję wam więc za konia koron czterdzieści!“ „Serdeczne dzięki, kawalerze“ — rzekł kupiec, a w duchu śmiał się z tak niepraktycznego nabywcy. Florens otworzył więc worek, kupiec wyliczył zeń obiecaną sumę, poczem dał młodzieńcowi wierzchowca wraz z cuglami i powrócił do domu. Uszczęśliwiony zaś chłopiec pobiegł szybko z koniem jak najkrótszą drogą ku przedmieściu St. Germain, bojąc się, aby kupiec za nim nie pospieszył i żałując tak tanio sprzedanego konia, nie odebrał mu go.

Klemens siedział właśnie przy stole wraz z żoną, która była bardzo uczciwą i pobożną i Florensa kochała jak własnego syna Klaudyusza. W całym też sąsiedztwie poważano ją wielce i uważano za roztropną i przezorną niewiastę. W téj chwili nadjechał Florens na koniu, wesoło

pokrzykując, co zobaczywszy Klemens, zawołał: „Co to synu! kto ci dał takiego wielkiego konia?“ „Ojcze“ — odrzekł zapytany — „to ja sam kupiłem tego rumaka; dałem zań czterdzieści koron złota z pieniędzy, które miałem zanieść bratu na giełdę. Spodziewam się, że tym razem dobrze uczyniłem i marnie nie wyrzuciłem pieniędzy; obejrzyjcie tylko dobrze konia, jak jest piękny i dobrze biegnie, sądzę, że co najmniej wart jest sto koron!“ Klemens usłyszawszy to, upadł aż z gniewu na ziemię, wyrzekając, iż na własną zgubę przywiózł tego chłopca z za morza, który go jeszcze do żebraczego doprowadzi kija. Ze złości też pochwycił Florensa za włosy i powaliwszy na ziemię, podniósł nań łaskę — byłby go może nawet zabił z gniewu, gdyby nie nadbiegła żona i zagrożonego syna od ciosów nie zasłoniła, łagodząc gniew męża. „Syn twój nic jeszcze nieszlachetnego nie uczynił“ — rzekła mu z wyrzutem — „zostaw go w spokoju, bo kto wie, jakiego on jest pochodzenia!“ Teraz dopiero uspokojony Klemens począł żałować swego uniesienia i złego obejścia się z synem, ale ten rzekł: „Jestem twém dzieckiem, kochany ojcie — możesz mnie więc bić, kiedy ci się podoba; ale obejrzyjcie tylko mojego konia, jak jest silnym i rosłym! Mam silną nadzieję, że mi jeszcze kiedyś wielkie może oddać usługi!“

Klemens widząc, że jego wychowanek tylko o koniu swym myśli, wspomniął na słowa swojej żony, przeboleł stratę i kazał Florensowi wespół usiąść do obiadu. W téj chwili nadszedł Klaudyusz, który aż do tego czasu od rana daremnie na giełdzie przyniesienia pieniędzy oczekiwał. Zobaczywszy więc brata, siedzącego spokojnie przy jedzeniu, wpadł w wielki gniew i zawołał: „Jak to może być, że mi do tego czasu potrzebnych do interesu pieniędzy nie przysyłacie, lecz siedzicie z niegodziwcem, co was o szkodę dwu wołów przypawił“ — a zobaczywszy w podwórze konia — „z kądże się znowu tutaj to zwierzę wzięło?“ — zapytał. Ojciec opowiedział mu wtedy całą historję, przerywając licznymi westchnieniami, w końcu dodał: „Zupełnie się też tym koniem interesować nie będę, ani pilnować ani karmić go nie każę, choćby miał z głodu zdechnąć!“ „Słusznie się wam dzieje“ — rzekł Klaudyusz — „on was doprawdy do zupełnej doprowadzi ruiny, lepiej by było zaiste, aby się był wcale nie rodził! Ja także jego koniem zajmować się nie myślę, bo od dawna już tych zwierząt nienawidzę!“ „Czyńcie, co wam się podoba“ — rzekł Florens — „ja już sam o mym koniu będę pamiętał!“ I rzeczywiście zaprowadził go zaraz do stajni, dał mu pod dostatkiem obroku i podesłał słomy. Nazajutrz rano pospieszył doń coprędzej, opatrzył go i osiodłał, a patrząc

nań z przyjemnością i zadowoleniem. mówił do siebie: „Doprawdy, zwierzę to warte jest przecież więcej niż kosztuje!“ Za chwilę siedział już na nim, a wspiąwszy go ostrogami, popędził przez ulicę ku ogólnemu zdumieniu przechodniów, doskonałym bowiem był jeźdźcem, a koń także był piękny i silny jak rzadko. Zmęczony powrócił do domu, nakarmił i напоił konia, uważając zawsze, aby mu nie brakło niczego. Myślał przytém w sercu: „Może mi ten koń kiedyś w ważniejszych posłuży sprawach, bo ja chciałbym koniecznie broń nosić, a wtedy taki wierzchowiec, jak dla rycerza byłby odpowiednim.“ Ale opuśćmy na chwilę Florensa z jego koniem, a sami przenieśmy się w inne strony.

---

Za błogich i mądrych rządów króla Dagoberta we Francyi, częste jeszcze podnosili bunt poganie, w których posiadaniu kraj ten znajdował się poprzednio, bo niedawno ujarzmieni, z niewolą żyć się nie mogli. Paryż, dziś drugie co do wielkości miasto na świecie, w owym czasie w wielu miejscach było jeszcze zupełnie pustém, dopiero za Dagoberta podnosić się i wzrastać poczęło. Obwarował on je i wzmocnił jako swą stolicę państwa, a na pustym poprzednio placu St. Denis, niedaleko od Paryża, kazał wznieść wspaniałą świątynię.

W tym właśnie czasie wybuchła nowa między królem francuzkim a niewiernymi wojna; ci bowiem



ostatni ciągle jeszcze panami tego kraju uważać się chcieli. Naczelnicy osobnych szczepów pogan i Turków odbyli wspólną naradę pod przewodnictwem sułtana Babylono, dając za jeden z najważniejszych powodów do wojny to, iż w Paryżu ośmielono się wznieść świątynię przeciw prawdziwemu Bogowi Mahometa. Sułtan wysłuchawszy ich mowy, przyznał słusność wojny i w te do nich odezwał się słowa: „Udzielcie mi tylko swój pomocy dostojni panowie, a potęgą moją i siłą zgniotę i zniszczę całą Francję, a króla jój każę publicznie powiesić i spalić!“ Potém wysłał do wszystkich pogańskich państw wezwanie o zbrojną pomoc na wojnę i zniszczenie Francyi. Pomoc ta zaczęła też rzeczywiście ze wszystkich stron napływać i to w bardzo krótkim stósunkowo czasie. I tak przybyli królowie z Arabii i Persyi z wielkimi siłami; potém król olbrzymów z trzydziestoma tysiącami ludzi; potém król Etyopii, Merach i Krypty; tych wojsko liczyło około dwudziestu tysięcy. Słowem, nie było ani jednego poganina lub Turka, któryby sił swych nie pospieszył ofiarować sułtanowi. Przybył także emir z Persyi, brat sułtana z wielką liczbą wojska — tak iż na rozkaz sułtana w przeciągu dni trzydziestu sto tysięcy męża konno lub pieszo stanęło w pogotowiu. Naprzeciw wszystkich wychodził sułtan, przyjmował każdego uprzejmie i gościł.

Najpotężniejszym z pomiędzy przybyłych na pomoc wodzów, był król olbrzymów. Prosił on o chwilę rozmowy z sułtanem a stanąwszy przed nim rzekł: „Panie i królu Babiloński! Naszém najsilniejszém pragnieniem jest twój zamiar jak najprędzėj doprowadzić do skutku. Kaźcie więc coprędzėj okręty silnie obić żelazem i we wszystko zaopatrzyć, aby całe wojsko bezpiecznie do Wenecyi dopłynąć mogło. A gdy przebędę morze i znajdę króla Dagoberta, przysięgam na proroka i moją wierność, iż go własną zduszę ręką i nie spocznę wcześniěj, dopóki z mém wojskiem nie wejđę do Paryża, nie stanę tam obozem i całej Francyi do poddania się nie zmuszę. A potém cały ten zdobyty kraj do ciebie należeć będzie — o, wielki królu Babilonu!“ Mowa ta pochlebiająca podobała się bardzo sułtanowi, podziękował też uprzejmie królowi za jego oświadczenie i przyrzekł wszystko według jego rady uczynić. W krótkim czasie przygotowania wojenne posunął do tego stopnia, iż w porcie stało dwa tysiące dobrze i mocno zbudowanych okrętów, zaopatrzonych we wszystko potrzebne do podróży, czekając tylko pomyślnego wiatru. Wojsko było także w pogotowiu.

Sułtan miał zwyczajem wschodnim wiele żon, a więc i nadzwyczaj liczne potomstwo: trzydziestu silnych synów i 20 pięknych córek. Pośród tych ostatnich szczególnie jedna nadzwyczajnie

czajną jaśniała pięknością, tak iż ogólnie przyznawano jój pierwszeństwo pomiędzy dziewczcami Wschodu. I słusznie zupełnie oddawano jój piękności hołdy, zasługiwała bowiem pod każdym względem na to. Całe ciało jój w jak najforemniejszych skupione kształtach, było delikatne, różowo-białe a gładkie jak alabaster; twarz z wdziękiem rozkwitającej róży okalały jasno-złociste włosy, w naturalne pozwijane pierścienie, które aż na śnieżne ramiona spadały; karminowe usteczka a w nich rząd drobnych a białych jak pereł ząbków dodawały jeszcze wdzięku tym rysom. Alabastrową szyję zdobił sznur uryańskich pereł, gubiący się gdzieś w zagłębieniu między dwoma pączkami piersi, ustawicznie wznoszącemi się jakby jakąś lubieżną rozkoszą. Gdy ta córka Wschodu przywdziała na się złocisty strój z najwyszukańszych materyj, ozdobiony mnóstwem drogich kamieni i utrefniła swe precudne włosy, jaśniała jak jaka senna bogini swym wdziękiem i śmiało mogła być porównaną z ową piękną, grecką Heleną. Ale o ileż piękniejszą się wydawała bez tych zewnętrznych ozdób i błyskotek, gdy ukazywała się tylko swym służebnicom i eunuchom w kąpeli — cała bez zasłony ale w swój bozkiej nagości, gdy każde rozkoszne zaokrąglenie jój ciała mogło być widoczném, a natura w niczém nie uchybiła, tworząc to cudo przyrody. Zamiast dyamentów błyszczały naówczas śliczniej-

sze od nich gwiazdy jęj czarnych źrenic, a zamiast zapachu kwiatów wznosiła się cudowna woń jęj włosów i dziewiczego ciała otaczając ją niebiańską atmosferą uroku. Patrzącego na nią wtedy przechodziło jakieś dziwne drżenie po całym ciele, przestawał być panem siebie, a ręce bezwiednie wyciągały się naprzód, aby ująć te bozkie kształty i w objęciu ich utonąć zapomnieniem.

Nic też dziwnego, że córkę tę kochał ojciec nadzwyczajnie i był gotów wszystkim jęj życzeniom zadosyć uczynić. Właśnie w tęg chwili stanęła ona przed ojcem i prosiła go bardzo, aby zechciał ją wziąć z sobą na wyprawę wojenną za morze, pragnie bowiem koniecznie Francją zobaczyć. „A ponieważ chcesz ojczy“ — dodała — „wydać mnie za mąż, otóż postanowiłam tylko temu oddać mą rękę, który z królów podczas walki najwaleczniejszym się okaże — będę więc mogła sama rozstrzygnąć. A gdy pomścisz krzywdę, jaką wyrządziła ci Francya, przywłaszczając sobie nasz kraj, dasz mi głowę króla Dagoberta w podarunku.“ „Na proroka! stanie się, jak mówisz!“ — rzekł sułtan i rozkazał natychmiast książętom, panom i wojsku wyruszyć ku okrętom. Sam sułtan z swą córką i trzydziestoma ukoronowanymi książętami wsiadł na wspaniałą trójmasztowiec, na którego czele cztery orły z prawdziwego, czystego arabskiego złota zrobione — zwracały swe dzióby ku Francyi. Dzięki po-

myślnemu wiatrowi i wytrwałemu sterowi żeglarzy, za kilka dni okręty zarzuciły kotwicę w Wenecyi. Plan postępowania wojennego był już z góry ułożony. Stósownie do niego rozłożyli swój obóz w Wenecyi i przez cały miesiąc uganiając po kraju jak wilki, pustoszyli go ogniem i mieczem, nie przepuszczając nawet kobietom i dzieciom, młodym i starym. Co napotkali na drodze, niszczyli — domy i kościoły, nie zostawiając z nich ani kamienia na kamieniu.

Okoliczni książęta i panowie chrześcijańscy wpadli w wielką trwogę i wszyscy szukali pomocy i opieki u króla Dagoberta. Od nich dopiero dowiedział się władzca francuzki o napadzie niewiernych — sam bowiem zajęty był budową świątyni w St. Denis. „Przygotuj się do odporu“ — rzekli doń prześladowani książęta — „uzbrój swój kraj i miasto, inaczej zginęliśmy niechybnie, bo Turków jest co nie miara!“ I tu poczęli mu opowiadać o ogromie sprzysiężonych sił niewiernych, którzy wystąpili przeciw Francyi. Król Dagobert nie był na to przygotowanym; zwrócił się więc tylko z gorącą ufnością do swego patrona, następującą szepnąwszy modlitwę: „O, święty Dyonizyuszu! ochroń Francją od wszelkiego nieszczęścia! Gdy Turcy lub inni poganie ten kraj zajmą, nigdy budowa Twój świątyni nie przyjdzie do skutku; niewierni zburzą ją, albo według swego upodobania, przerobią na własny

meczet. Dla tego, o święty Dyonizyuszu! miej w opiece twe miasto Paryż!“ Potém porozsyłał coprędzej posłów do wszystkich władców chrześcijańskich, a przedewszystkiem do cesarza Oktawiana do Rzymu z prośbą, aby z swémi zbrojnemi siłami przybyli połączyć się z Francją i skuteczny opór stawić nieprzyjaciołom. Zewsząd dochodziły go potwierdzające wieści i podczas, gdy sam się jeszcze przygotowywał, przybywali ze wszystkich stron sprzymierzeńcy. Król holenderski przybył z za morza z 40,000 ludzi, król irlandzki z 15,000 samych walecznych wojowników, a król angielski przyprowadził z sobą potęgę, niemal nie do policzenia. Dagobert wyjeżdżał przeciwko każdemu z osobna i za pomoc z góry uprzejmie dziękował.

Każden z królów stanął obozem około innéj bramy miasta, a ponieważ poganie również już przybyli i niedaleko od miasta rozłożyli swój obóz, w kilku miejscach stoczono z nimi kilka małych potyczek, choć król na to nie dał jeszcze zezwolenia. Wszyscy czekali na nie, jak na zbawienie; chcieli bowiem swój zapał i zemstę w krwi niewiernych ostudzić.

Przybył nareszcie i potężny cesarz Oktawian z swoimi Rzymianami, zupełnie inną drogą pod Paryż. Ale omal że nie przyszedł za późno, bo i sułtan z swém motłochem werznął się już głęboko w kraj; do zmierzenia się jednak z wrogiem nigdy nie przybył za późno. Wielki cesarz

nie zapomniał jeszcze do téj chwili o swéj wygnanej małżonce i dzieciach i ile razy o nich wspominał, łzy mimowoli cisnęły mu się do oczu; aby ulżyć sobie nieco w téj boleści i choć na chwilę o niéj zapomnieć, wyruszył na tę wojnę. Widząc, że wszyscy królowie zajęli już miejsca przed bramami miasta, sam rozłożył się z swoimi obozem na przedmieściu St Germain. Król francuzki, dowiedziawszy się, że cesarz Oktawian z dobrze uzbrojoném trzynastotysięczném wojskiem obozuje w St. Germain, wyjechał z całą swą świtą przeciwko niemu, a przybywszy do jego namiotu, prosił go bardzo, aby zechciał u niego w pałacu przyjąć gospodę. Cesarz jednak podziękował za tę propozycją i postanowił przynajmniej pierwszą noc z swém wojskiem na tém spędzić miejscu. „Ale jedno zapytam się Was królu“ — rzekł, wskazując ręką na opodal stojący dom — „czyj to jest budynek? Musi być niezawodnie własnością jakiego dostojnego pana, bo wygląda wspaniale i widać iż silnie a sztucznie jest zbudowany? Mury tego domu przewyższają wszystkie inne w pobliżu!“ „O, wcale nie jest znakomity urodzeniem posiadacz tego domu“ — odparł król — „ale jest nim jeden z moich obywateli, imieniem Klemens, który swoją roztropnością, pracą i staraniem tak znacznego dorobił się majątku! Przed kilkunastu laty podróżował on za morze, z kąd przyniósł z sobą jakieś obce

dziecię tak piękne i tak szlachetnych rysów, iż równego mu nie ma w całym Paryżu!”

Na wspomnienie dziecka, cesarzowi wyrwało się z piersi głębokie westchnienie i zaledwie potrafił się wstrzymać od płaczu. Dagobert zauważył to i zapytał łagodnie cesarza o przyczynę smutku. Oktawian nie wahając się też długo, opowiedział mu wszystko, co dotyczyło jego żony i dzieci. Wysłuchawszy opowiadania król Dagobert potrząsnął głową, poczem skarcił ostrymi słowy nagłe postępowanie cesarza bez lepszego i dokładniejszego wejrzenia w sprawę. Nie przemilczał także swego podejrzenia, że matka cesarza była może sprawczynią całej téj intrygi. „Ale jeżeli jeszcze żona Wasza i dzieci są przy życiu“ — dodał — „to, aby Was Bóg, który jest wszechpotężnym aby wszystkich mógł mieć w Swój opiece, pocieszył i zamienił w radość to, co dziś Wam boleść sprawia!“ To rzekłszy odjechał Dagobert do miasta, pozostawiając w smutku pogrążonego cesarza w St. Germain.

Podczas tego posuwali się poganie dalej naprzód siejąc naokół spustoszenie. Wielką, główną armię poprzedzała zbita masa żołnierstwa, mająca polecenie roznosić naokół postrach, mordując bez miłosierdzia wszystkich chrześcijan, nie wyłączając kobiet i dzieci. W ten sposób wszczął się w całym kraju lament i narzekanie, płacz i krzyk zgrozy. W pierwszych dniach Kwietnia

przybyła nareszcie ta forpoczta wojsk nieprzyjacielskich pod mury Paryża. W krótcie za nią nadjechał i sułtan babiloński cały w złoto przybrany. Był to mężczyzna wyniosłej postawy, z głową w górę wzniesioną a długą aż do pasa siwą brodą. Czarne oczy rzucały naokół błyskawice. Koń jego był również jak sam pan przybrany bogaty; na piersi jego zwieszała się szeroka szczerozłota tarcza, w około drogimi kamieniami wysadzana a na głowie miał sztucznie osadzony róg złocisty. Obok sułtana jechała Marcyballa, uroczą jego córka w kosztowne odziana szaty i drogimi kamieniami niemal obsypana. Koń jój miał na czole wielką gwiazdę, złożoną z rubinów, szmaragdów i dyamentów a dokoła perłami otoczoną. Na głowie tak sułtana jak i jego córki spoczywały białe turbany, z jedwabnymi sznurami i złotymi guzikami. Marcybellę otaczało nadto towarzystwo złożone z trzystu dziewic, córek królewskich i dostojników państwa, ku którym niejednego młodego towarzysza wyprawy zwracały się oczy. I boga Mochometa kazał sułtan wieść na umyślnie w tym celu urządzonym, złocistym wozie, i codziennie modlił się przed nim na kolanach o zwycięstwo. Tak jechał dniem i nocą z swém rycerstwem, aby tém prędzej stanął u bram Paryża.

Dobiwszy wreszcie do celu podróży, rozkazał sułtan rozbić swój przepyszny namiot, który ce-

niono wyżej niż niejedno księstwo. W namiocie tym przenocował z najzacniejszych z rycerstwa, porozstawiał jednak poprzednio wszędzie strażę i wysłał szpiegów, aby francuzkie obozy obejrżeli. Ci powróciwszy donieśli sułtanowi, że Francuzi jak najlepsze pozajmowali stanowiska, obsadzili bramy i mury nadzwyczaj silnie a wojska ich są tak liczne, iż na razie liczby ich podać nie można. Usłyszawszy tę wiadomość potężny król olbrzymów, rozgniewał się bardzo i zawołał: „Przysięgam na brodę proroka, iż nie chcę mieć pierwój spokoju, dopóki miasta i całego kraju nie zniszczę, tak, iż zeń nie pozostanie kamień na kamieniu!” Ale większa część Turków przestraszyła się przeważającój siły chrześcijan i żałowała w duchu, że się na tę wyprawę wybrała. Zaledwie tylko posłańcy, którzy tę złowrogą wieść sułtanowi przynieśli — oddali się, przyszła doń córka Marcybella i prosiła go słodkimi słowy, aby jój pozwolił wyjechać pod mury Paryża; chciałyby bowiem z blizka zobaczyć to miasto. Ojciec zgodził się na to, jednak powierzył ją w opiekę króla olbrzymów, który się tém nieskończenie ucieszył, bo tym sposobem spodziewał się zyskać łaskę u sułtana i przypodobać się dziewczycy, którą już od dawna uwielbiał.

Miedzy wojskiem francuzkiem i sprzymierzonych także wielka to walki była ochota. Widząc tak blizko miasta stojących nieprzyjaciół

nie mogli się doczekać stanowczej do bitwy chwili. „Ja pierwszy napadnę ich z boku“ mówił król hiszpański — „nie, ja to uczynię“ — przerwał mu cesarz Oktawian — „mąż w męża, kaźden z moich będzie walecznie działał!“ „I my to samo uczynimy!“ — zawołali królowie angielski i szkocki. I tak cały obóz chrześcijański wrzał przygotowaniami do nastąpić mającego starcia.

---

Podczas tych przygotowań, pewnego południa, przybył do obozu Dagoberta niezwyklej powierzchowności posłaniec. Głowę miał niską a szeroką, oczy wielkie, wypukłe, daleko od siebie oddalone, nos spłaszczony z wielkimi otworami, a nogi wykrzywione, jedném słowem obrzydliwy przedstawiał widok. Na plecach jego wisiał topór, w ręku zaś miał zamiast szpicruty, grubą linę z licznemi węzłami, którą popędzał konia do biegu. Francuzi zobaczywszy takiego dziwoląga, stawali zdumieni i kręcili głowami. Posłaniec zaś pędził przez obóz wojsk francuzkich i wołał silnym głosem: „Wskażcie mi, gdzie jest Dagobert, król francuzki, co sobie Paryż obrał za stolicę! Ja pragnę z nim mówić, przynoszę mu bowiem poselstwo od mojej miłościwej pani, córki króla babilońskiego!“ Usłyszawszy to Francuzi dziwili się, że tak szkaradnego człowieka obrano za posła, zaprowadzili go jednak przed króla, ciekawy, co im za nowinę przynosi. Dziwaczny

poseł upadł przed Dagobertem na kolana i silnym głosem zawołał do króla i wszystkich obecnych panów: „Wiedźcie, o królu francuzki, że moja miłościwa pani Marcybella, księżniczka Babilonu kazała Wam oznajmić, iż przybyła tutaj, aby Was i waszych ludzi wygubić zupełnie. Świadczy o tём spustoszenie kraju, którędy przeszła, nim stanęła przed bramami Paryża na przedmieściu Montmartre obozem. Dla tego też kazała się Was wpierw zapytać, czy myślicie nadal bronić miasta, co na niewiele się przyda, czy poddać je dobrowolnie, nie czekając walki! Oprócz tego donosi wam, że jutro rano wystąpi przed bramy Paryża jęj oblubieniec okuty w zbroję, z tarczą i dzidą, jak na zapaśnika przystało i gotów będzie do walki pojedyńkiem z rycerzem, którego z pomiędzy swoich wybieriecie. Biada wam jednak, jeżeli nie znajdziecie godnego do zmierzenia się z nim, bo narzeczony męj pani bez walki do nięj nie powróci, lecz natychmiast każe szturmować miasto. Namysłcie się więc królu krótko, co macie czynić!“ „Jeżeli tak“ — odrzekł król — „to powiedz narzeczonemu twęj pani, że znajdziemy godnego mu przeciwnika, niech tylko o oznaczonym czasie stanie na miejscu!“ Posłaniec podziękował królowi za tę odpowiedź i rzekł: „Ale powiadam Wam królu, iż pożałujecie tego uporu, bo zapewne nim miesiąc minie, wielbiciel mojęj pani przywdzieje Waszą koronę, a naród wasz

do szczętu wytepi i zniszczy.“ Powiedziawszy to, pożegnał króla i pospieszył coprędzej z powrotem do swojej pani, donosząc o pomyślnym rezultacie swojego posłannictwa. Król olbrzymów usłyszawszy to, ucieszył się niezmiernie. Powiedział swój narzeczonój, iż nazajutrz stawi się niezawodnie przed bramami Paryża i wszystkich Francuzów wyzwie do walki, a których tylko w swe ręce dostanie, potarga na kawałki. To oświadczenie spodobało się bardzo królewskiej dziewicy, przyjęła je więc ochotnie.

Nazajutrz rano jeszcze przed wschodem słońca uzbroił się olbrzym od stóp do głowy; pozostawił jednak włócznię i dzidę, a wziął z sobą tylko ogromny miecz. Nie wsiadł również na konia, ale postanowił walczyć pieszo, był bowiem na dwanaście stóp wysoki. Przygotowany zupełnie do boju, poszedł pożegnać swą dziewicę, poczem udał się prostą drogą ku Paryżowi. Stanąwszy wreszcie przed bramą miasta, wyciągnął miecz z pochwy i zawołał: „Ja walczę w imię mojej najukochańszéj, kto ma chęć zmierzyć się ze mną, niech wystąpi!“ Mieszkańcy Paryża, słysząc to wyzwanie cisnęli się na mury, aby pogańskiego rycerza zobaczyć; zgroza jednakże jaką przejął ich widok tego olbrzyma, była nie do opisanania. Nikt też nie kwapił się do walki. Sam król Dagobert przestraszył się zobaczywszy króla olbrzymów. „Święty Dyoni-

zyuszu!“ — zawołał — „miěj w opiece tve miasto i nie dozwoł, aby je mieli zająć ci poganie!“ Długo też żaden król ani pan znakomity nie odważył się wystąpić do boju, aż wreszcie jeden młody, szlachetny rycerz francuzki wystąpił przed zgromadzonych i rzekł: „Zaiste! hańbą byłoby wieczystą, gdyby się z pomiędzy nas żaden nie znalazł, któryby miał na tyle odwagi w sercu, aby się zmierzyć z tym poganinem! Dla tego ja gotów jestem to uczynić; dajcie mi tylko mą zbroję, tarczę i włócznię, a przede-wszystkiém mojego konia i miecz!“ W momencie rycerz był już zupełnie uzbrojony. Dosiadł więc dzielnego wierzchowca, a przejechawszy na nim kilkakrotnie wzdłuż ulic, pożegnał króla i w téj chwili bramę miasta przed nim otworzono.

---

Ujrzawszy się na wolném miejscu nasz rycerz podjechał natychmiast ku olbrzymowi, a za nim zwróciły się setki oczu, obserwujących go z murów miasta Francuzów. Każden był bowiem ciekawy, widzieć rozstrzygającą walkę. Olbrzym zobaczywszy chrześcijańskiego rycerza, rozgniewał się bardzo i uważał sobie za hańbę z tak małym człowiekiem walczyć. Rycerz jednak podbiegł ku niemu odważnie i dzielne swą włócznią wymierzył pchnięcie, przebił bowiem pancerz olbrzymowi, lecz ciała jego wcale nie naruszył, dla tego też ten ostatni pozostał jak mur niewstrząśnięty.

Nie był jednakże zupełnie bezczynnym, bo w tejże chwili, korzystając z nachylenia rycerza, pochwycił go silną dłonią za ramię, a podniósłszy z siodła lekko jak piórko, wziął go pod pachę i pospieszył z nim do obozu. Rycerz w śmiertelnej trwodze wzywał Boga i wszystkich Świętych o pomoc, zdawało mu się bowiem, jakby żywy djabeł unosił go z sobą do piekła. Olbrzym tymczasem spieszył do swój narzeczonej a pozdrowiwszy ją, co bardzo mile odwzajemniła, postawił więźnia na ziemię. Ten myślał, że już jego ostatnia nadeszła godzina, ale córka królewska uspokoiła go zupełnie i żądała od niego, aby jój powiedział, dla czego właśnie jego, tak niewielkiego wzrostem, wybrano do boju. Rycerz opowiedziawszy wszystko i ukląkł przed księżniczką. Ta zdumiała się bardzo jego walecznością, kazała mu zdjąć pancerz i zbroję i rozgościć się zupełnie. Nieszczęśliwy rycerz mniemał, że teraz zetną mu głowę, ale jakże się zdziwił, gdy wniesiono przepyszne potrawy i napoje i rozpoczęto wspaniałą ucztę ku uczczeniu jego rycerskiej odwagi. Podziękował więc królownie ze łzami w oczach za darowanie mu życia i usiadł wraz z innymi do stołu. I w całym obozie cieszone się ogólnie ze zwycięstwa, które król olbrzymów odniósł nad rycerzem chrześcijańskim.

Nazajutrz rano pozdrowiła królowna słodko swego oblubieńca, który jak najśłodszymi wyrazy

prosił ją o jeden pocałunek. Królowna jednak odmówiła mu, mówiąc: „Dopiero wtedy, gdy mi przyniesiesz króla francuzkiego jak tego rycerza, obdarzę was pocałunkiem!“ Olbrzym ucieszył się tą obietnicą niezmiernie, uklonił się głęboko i począł się gotować do nowego wystąpienia. Nie długa upłynęła chwila, a już głos jego grzmiał przed bramami Paryża: „Tu stoję gotów do walki każdej godziny, w imieniu méj uwielbianej Marcybelli. Pożalujesz tego królu Dagobercie, gdy mi nie poddasz dobrowolnie Paryża, bo już więcej nie znajdziesz rycerza, pragnącego zmierzyć się zemną!“ I rzeczywiście wszyscy książęta i panowie byli tak przestraszeni rezultatem poprzedniej walki, iż żaden nie miał chęci przyjąć wyzwanie olbrzyma. Widząc to pobożny król Dagobert zawołał: „Dobrze więc! Uzbróćcie mnie, a ja sam pójdę dać me życie za sprawę narodu i jeżeli nie zginę, to może z pomocą Bożą potrafię zabić tego olbrzyma! Święty Dyonizyszu! nie dozwól, aby twa świątynia niedokończoną została i przybądź mi z pomocą!“

Usłyszawszy to cesarz Oktawian, nie chciał zezwolić Dagobertowi walczyć z olbrzymem, lecz natomiast sam chciał go mężnie zastąpić. Król jednak silnie stał przy swym zamiarze, a że i Oktawian nie chciał ustąpić, tak więc obaj spierali się długo o zaszczyt pojedynku.

---

Gdy się to dzieje w pałacu królewskim, obywatel Klemens, jak wielu innych, przechadzał się po ulicach Paryża z swym synem Florensem, Ten, zobaczywszy na balkonie zamkowym zasmuczone twarze królów i książąt, zapytał się ojca o przyczynę ich smutku. „Ach, kochany synu“ — odparł Klemens — „wiesz przecie, że niewierni oblegli nasze miasto. Otóż między nimi znajduje się pewien król olbrzymów, narzeczony córki sułtana babilońskiego, który daremnie wyzywa codziennie naszych do walki z sobą; nikt się z nim zmierzyć nie chce, pokonał już bowiem jednego rycerza prawie bez walki. Dla tego to książęta są tak smutni i przestraszeni; gbyby bowiem kto pobił olbrzyma, cały kraj w krótcie od pogan zostałby oczyszczony!“ „I cóż“ — zapytał ciekawie Florens — „czyż olbrzym ten zjadł owego rycerza?“ „Nie“ — odparł Klemens — „ale wziął go, jak dziecko na ramię i zaniósł do namiotu królowny!“ „O, gdyby mnie przy padło z nim walczyć!“ — zawołał porywczo Florens — „byłbym nieustraszony!“ „Wiem, że jesteś dzielny i silnym młodzieńcem“ — rzekł Klemens na to — „ale rozważ dobrze, o ile większym i silniejszym jest olbrzym! Nie dziw też, że książęta są tak zasmuceni!“

Florensowi jednak tak spodobała się myśl walczenia z olbrzymem, iż począł usilnie nalegać na ojca, aby mu na to dał zezwolenie. „Mam

i tak“ — mówił — „dzielnego konia, który mi się jeszcze na nic ważnego nie przydał, a drogo mnie kosztuje!“ Klemens wszelkim sposobem starał się synowi wybić ten zamiar z głowy, trudno było jednakże upór jego pokonać; chciał nawet bez żadnego uzbrojenia tak jak stał, iść walczyć z olbrzymim zapaśnikiem. Ojciec też rozgniewał się wreszcie i rzekł: „To idź sobie szaleńcze, gdy chcesz — dokąd chcesz! Ale gdy ci życie miłe, to posłuchaj méj rady i zostaw olbrzyma w spokoju! Nie mam zresztą dla ciebie żadnego porządnego pancerza, mój zardzewiały łuskowiec na nic się nie przyda, naramienniki są brudne i podziurawione. Wszakże od trzydziestu lat zbroi nie przywdziewałem na siebie! Włócznia moja także pokrzywiona i odymiona, stojąc długi czas pod piecem! Wiesz przecie, że nie byłem amatorem walk, ale raczej wolałem siedzieć w domu wygodnie. Noszenie zbroi rzadko bowiem przynosi korzyści, częściej rany i blizny!“ „To nic nie szkodzi ojczule! daj mi te kawałki, o których mówiłeś, ja chwałą zetnę z nich rdzę nieczynności, i daję słowo, że nie mieniałbym się niemi za świetną, nowo - błyszczącą zbroję!“ „Uczynię, co chcesz“ — odparł Klemens — „i dam ci mą zardzewiałą zbroję, ale wiem, że cię z tém wszystkiém wyśmieją! Jednak niech się dzieje wola Wszechmocnego, który oby cię miał w Swój opiece!“ Florens był już teraz zupełnie zado-

wolonym; w krótkim czasie przywdział na siebie zardzewiały pancerz. Klemens wsadził mu na głowę stary hełm, który wewnątrz pełen był siatek pajęczych, a zewnątrz zupełnie czarno wyglądał; długi czas był on siedliskiem myszy i szczurów. Potém dał mu miecz, który od trzydziestu lat tkwił w pochwie i tak wraz z nią zardzewiał, iż wyjąć go nie było można. Pochwycił go tedy Klemens z jednej a Klaudyusz z drugiej strony i poczęli ciągnąć z całej siły, aż wreszcie wyciągnęli go z niemałym trudem, upadłszy obaj każdy w innym kierunku na ziemię. Gotowi byli płakać raczėj a nie śmiać się. Florensowi podobało się to bardzo, żartował więc sobie, mówiąc: „Musieliście panie ojcze, długo tego miecza nie używać, kiedy tak pięknie wygląda!“ Klemens zaś odpowiedział: „Wiesz co, mój synu, przypasz sobie ten miecz, lepiej bez pochwy, abyś przy wyciąganiu go nie upadł podobnie jak my!“ I tak żartowali ze siebie obustronnie. Nareszcie przyprowadzono Florensowi i konia, którego nabył ojcowskiemu pieniędzmi; było to piękne i wspaniałe zwierzę bogato przybrane, zwyczajem francuzkim. Wskoczył też nasz młodzieniec nań żwawo i zawołał: „Gdzie jest król olbrzymów? Pokażcie mi go! Ale dajcie mi pierwój włócznię! Ojciec podał mu żądany przedmiot, który można sobie wyobrazić jak wyglądał, bo przez długi czas służył jako drążek dla drobiu.

„Jedź więc, mój kochany synu“ — rzekł Klemens — „a Bóg niech ci Swój łaski udzieli i pozwoli okryć się sławą dnia dzisiejszego. Ja ci będę towarzyszył aż do bramy miejskiej, a z murów będę się twój walce przyglądał. Im waleczniejszym się okażesz, tém będziesz mi milszym!“ „Będę się starał do twój woli zastosować ojciec“ — rzekł Florens — „a gdy mi Bóg dopomoże, spodziewam się dziś jeszcze głowę olbrzyma przynieść Dagobertowi!“ Po tych słowach pożegnał Florens płaczącą za nim matkę i brata i w towarzystwie ojca w pełnem uzbrojeniu podążył przez ulice Paryża. Wszyscy spoglądający nań obywatele drwili sobie głośno i żartowali. „Patrzcie, co za błyszczący rycerz! zbroja lśni się na nim jak złota!“ — mówił jeden. „Niech sobie jedzie“ — mówił drugi — „jak go poganie zobaczą, z pewnością przetraszą się i uciekną!“ „Pewnie ten rycerz chce walczyć z olbrzymem“ — zauważył znów inny — „aby przypodobać się córce babilońskiego sułtana!“ I tak wszyscy, nie wyłączając nawet książąt, drwili sobie i szydzili z zardzewiałego rycerza, ten jednak nie zważał na to i jechał prostą drogą aż do bramy.

Tejże samėj godziny ukazał się i król olbrzymów przed bramą i zawołał jak zwykle: „No Paryżanie! tchórze podli, otwórzcie bramy miasta! Smutny los was czeka, gdy tego nie uczynicie

i ani Bóg wasz nie zasłoni was przed moją zemstą. Wszyscy w moich rękach śmierć znajdziecie lub w haniebną uprowadzę was niewolę i nigdy już waszego kraju nie zobaczycie. Król wasz Dagobert także stryczka nie ujdzie!" Straż postawiona na murach słysząc to straszliwe wyzwanie, drżała ze strachu, a i książęta i panowie w ponurém pogrążyli się milczeniu. Jeden tylko Florens nie tracił otuchy, owszem im beczelniej grzmiał krzyk olbrzyma, w sercu jego wzrastała tém większa odwaga i nie uspokoił się, dopóki mu bramy nie otworzono i nie wypuszczono za obręb miasta. Teraz dopiero wszystko, co żyło, pobiegło na mury, bo to co uważali dotąd za żart, stało się prawdą: rdzawy rycerz miał walczyć z olbrzymem. Pocziwy, stary Klemens usadowił się także na gzymsie muru i śląc błogosławieństwo synowi, przypatrywał się jego ruchom. Florens też nie dając na siebie długo czekać w zaczepnej pozycyi rzucił się ku olbrzymowi, który zobaczywszy tak śmiesznie uzbrojonego rycerza śmiać się począł: „Zaprawdę, błyszczący rycerzu powinienes podziękować temu, co cię tak pięknie uzbroił! Zapewne twój pancerz przechowywałeś w kałuży! I czego żądasz? może bić się ze mną? Wróć się lepiej zkad przyszedłeś i powiedz twemu królowi, aby sam wystąpił do boju ze mną, bo potykać się z takim rdzą i pleśnią pokrytym rycerzem byłoby dla

mnie hańbą!“ Florens na te słowa pełne pogardy zadrżał cały z gniewu i rzekł: „Póki masz czas możesz sobie drwić ze mnie, ale wnet ja cię inaczej mówić nauczę! Oto twoją głowę myślę mego miłościwego króla Dagoberta obdarzyć i innego podarunku od ciebie nie pragnę!“

Wypowiedziawszy te słowa, wyszeptał krótką modlitwę i podjechał ku olbrzymowi. Bóg też wspierał jego siły, zaraz bowiem pierwsze przeciw nieprzyjacielowi wymierzone pchnięcie tak mu się udało, iż jego włócznia utkwiała głęboko w ciele olbrzyma, przebiwszy grubą zbroję. Z rany wytrysła krew obfitym strumieniem jak ze studni i oblała olbrzyma. Zobaczywszy to Klemens, dziękował w myśli Bogu i szeptał radośnie: „O, błogosławiona chwilo, w której ciebie, mój synu z za morza przyniosłem!“ Król olbrzymów, aczkolwiek srodze raniony, podniósł się jednak dość szybko z ziemi i zagniewany wzniósł swój ogromny miecz na Florensa. Ten jednak, mając ciągle na myśli swego poprzednika, był ze wszechmiar ostrożnym, uskoczył więc zręcznie na bok i uniknął cięcia przeciwnika, a sam natomiast ujął swój miecz zardzewiały, którego nie potrzebował wcale wyciągać z pochwy, albowiem go według żartobliwej rady ojca bez tójże u boku zawiesił. Skorzystawszy z sposobnej chwili tak silne i zręczne w stronę przeciwnika wymierzył nim cięcie, iż jednym zamachem odciął olbrzy-

mowi lewą rękę, która obok niego na ziemię upadła. Klemensowi na widok ten rośnie z radości serce i wołał: „O, Boże wzmocnij jego siły! Jakżem szczęśliwy, widząc cię tak walecznym, mój synu! O, szczęśliwa godzina, w której cię kupiłem, szczęśliwsza jeszcze, kiedy cię do Paryża przyniosłem. Stokrotnie wracasz mi pieniądze wydane na konia! O, i Francuzi wnet przestaną sobie drwić z twojej zardzewiałej zbroi! Utnij mu jeszcze drugą rękę, aby się poddał śmierci!“ Zachęcenie to słyszał Florens i widział jak się czynem jego Klemens i wszyscy z nim na murach będący cieszyli.

Olbrzym widząc swą jedną rękę odciętą, zawołał w wielkim gniewie: „Łotrze, choć tak ciężko poraniłeś mnie twym rdzawym mieczem, wiedz, żeś mnie jeszcze nie pokonał! Przysięgam na boga Mahometa, że choćbyś jeszcze piętnastu najdzielniejszych przy sobie miał rycerzy, wszyscy wraz z tobą zginąć muszą!“ „Kłamiesz! ze mną jest żywy, prawdziwy Bóg!“ — zawołał Florens i ująwszy obydwoje rękami swój miecz, uderzył nim tak silnie olbrzyma, iż mu hełm z głowy strącił. Ten jednak pochwycił w tejże chwili za tarczę Florensa, myśląc tym sposobem ściągnąć go pod siebie, co mu się jednak nie udało, bo Florens puścił tarczę, pozostawiając ją na łup olbrzyma. Wyrzucił też ją ten tak wysoko, iż ledwie dostrzedz można było i nim się Florens

miął czas zorientować, uderzył go tak silnie pięścią w prawy bok, iż tenże zachwiał się mocno w siodle i omal zeń nie wypadł. Klemens, widząc to z murów, zawołał: „Ach, kochany Florensie, czy śpisz? obudź się z tego odrętwienia, bo jeżeli olbrzym cię pokona, to wraz z tobą upadnie cała Francya!” Florens usłyszał krzyk swego ojca. Poskoczył znów ku olbrzymowi z swym mieczem i ciął go nim tak silnie w plecy iż odciął mu kawał odzienia z grubéj skóry i ciała aż do kości. Krew trysnęła znów na ziemię, jak gdyby wołu co najmniej zabito. Olbrzym wściekał się ze słości i wzdychał w téj chwili za córką sułtana, której przyrzekł, że wszystkich Francuców pokona, a tu tymczasem spotkał takiego, który mógłby dlań być mistrzem walki, tak bowiem dzielnego męża nigdy jeszcze nie widział. Ocknął się jednak z chwilowego wątpienia i uderzył na nowo na Florensa. Ten uskoczył znów na odległość mniej więcej pięciu kroków, ale olbrzym doścignął go i uderzył konia tak silnie w głowę, iż ten upadł na ziemię. Florens zerwał się o ile możności jak najszybciej na nogi, w każdym jednak razie opanował go teraz strach, bo w pie-szej walce nie był pewnym sił swoich. Rycerze stojący na murach zawołali, widząc to, głosem błagalnym: „O, mocny Boże! przyjdź na pomoc naszemu młodemu rycerzowi, aby straszego nieprzyjaciela chrześcijaństwa szczęśliwie mógł po-

konać!“ Okrzyk ten spotęgował jeszcze zaciekłość olbrzyma, krzyknął przeto na Florensa: „No, nadeszła więc twa ostatnia godzina! Oto w tobie pokonuję całą Francję, a choć uciąłeś mi jedną rękę, nie wielką tém samém uczyniłeś mi szkodę, mam bowiem lekarza, który moje rany cudownie uleczyć potrafi!“ „Ja mam daleko lepszą pomoc przy sobie!“ — zawołał Florens „przy mnie jest bowiem Bóg Wszechmogący i choć wzięłeś mi tarczę, nie pokonałeś mnie jeszcze!“ „Zobaczymy“ — zawołał olbrzym — „jak potężny jest twój Bóg!“ i wymierzył tak silny cios ku Florensowi, jak gdyby go chciał na miejscu rozplątać. Ale zręczny młodzieniec umiał wywijać się z pod uderzeń i zamachów przeciwnika, iż tenże ani razu trafić go nie mógł, co w jeszcze większy wprawiało go szał i wściekłość! W zamięcie walki nie uważał olbrzym, iż przed nim leżała kłoda zwalonego drzewa, potknął się też na niej nieszczęśliwie, iż upadł jak długi na ziemię aż zajękło na okół. Florens przyskoczył natychmiast i śmiertelny cios zadał olbrzymowi, iż tenże głosem umierającym począł błagać zwycięzcę o łaskę. Ale Florens odrzekł: „Bogu jedynemu niech będzie chwała, iż pomógł mi w tak stanowczej chwili; dla tego też ty fałszywy pogani- nie, musisz umrzeć!“ I z tymi słowy uciął olbrzymowi głowę. „Oto godny podarunek dla mojego króla Dagoberta!“ — rzekł i podniósł olbrzymią

głowę, która była tak ciężką iż ledwie potrafił ją dowlec do siodła konia, który tymczasem podniósł się już z ziemi i radośnie rżąc stanął koło swego pana.

Teraz dopiero Klemens i wszyscy naoczni świadkowie walki na murach się znajdujący, poczęli głośno dziękować Bogu za łaskę, której udzielił Florensowi podczas walki i pobiegli z radośnymi okrzykami ku niemu, będąc pewnymi, że razem z nimi i zwycięzki rycerz powróci do miasta. Ale Florens inne miał przedsięwzięcie. Oddał im tylko głowę olbrzyma, którą polecił zanieść w podarunku królowi, a sam udał się w dalszą drogę. Klemens zaś otoczony innymi Francuzami powrócił do miasta i przyniósł Dagobertowi jako trofea zwycięzkie głowę zabitego olbrzyma, czemu wszyscy wydziwić się nie mogli.

---

Florens zostawszy sam na pustém polu poza murami Paryża, przysiągł sobie wcześniej do miasta nie wracać dopóki nie zobaczy córki króla babilońskiego, o której piękności szeroko naokół mówiono. Popędził więc naprzód i nie popuścił cugli koniowi, dopóki nie stanął na wzgórzu Montmartre, gdzie obóz królewnęj z samych namiotów złożony się znajdował. Poganie z podziwem spojrzeli na zbliżającego się ku nim rycerza, a widząc zbroję jego drwili sobie, mówiąc: „Czegóż chce tutaj ten znakomity, w świetną zbroję za-

kuty rycerz? Na boga Mahometa, toż zbroja jego błyszczy jak rzadko wprawdzie nie blaskiem stali ale rdzą i pleśnią! A jakże włócznia jego pięknie pomalowana, to tylko dym tak pomalować potrafi. A i tarcza czystością swą odpowiada całemu jego uzbrojeniu! Miecz jego rzeczywiście, że nie potrzebuje pochwy, bo tę stanowi już gruba powłoka rdzy. Toż całe jego ubranie jest coś oryginalnego w swoim rodzaju; pochwyćmy go i oddajmy tak jak wygląda w ręce króla olbrzymów a on pewnie uczyni go naszym dowódcą, boć przecież widać iż znakomitego jest pochodzenia!“ I tym podobne głosy dawały się zewsząd słyszeć; poganie nie wiedzieli bowiem nic jeszcze o rezultacie walki. Florens jechał jednak dalej, aż stanął przed namiotem królowny, która właśnie z swym dworem po miłej zielonej łące się przechadzała. Urocze bowiem było miejsce, w którym jęj namiot rozbiło! Z jednej strony rozciągał się nie wielki gęsty las w którym słowiki dzień i noc pięknie nuciły a po drugiej rozkoszny kobierzec zieleni, upstrzony różnobarwnym kwieciami. Wszystkie też dziewice rwały kwiatki i wiały wieńce. I w ręku Marcybelli znajdował się już jeden, który zamierzała dać królowi olbrzymów, gdy zwycięzcą z pojedynku powróci. W niewielkiem oddaleniu od tego miejsca płynęła Sekwana, miły więc chłód powiewał i uprzyjemniał tém więcej to miejsce, tak stósownie dla dostojnej królowny obrane.

Była ona nadzwyczaj pięknie i bogato ubrana; jój wdzięczne kształty uwidoczniała lekka jasnozielona jedwabna suknia w Aleksandryi sporządzona i prawdziwém, arabskiém złotem obramowana. Włosy według pogańskiego zwyczaju miała spięte drogimi kamieniami, które w promieniach słońca błyszczały tak jasno, iż Florensowi zrazu zdawało się, iż to jest broń pogan strzegących swój pani, aby się jój co złego nie stało. Dla tego przestraszył się z początku cokolwiek, ale gorące pragnienie zobaczenia precudnej dziewicy parło go ciągle naprzód, aż stanął pod samym namiotem. Marcybella zdziwiła się niemało, zobaczywszy jakiegoś obcego rycerza podjeżdżającego pod jój namiot, a z nią razem i wszystkie otaczające ją dziewice. Przedewszystkiém zaczęły jednak szydzić z rycerza w tak haniebnój zbroi, ale najbardziej śmiała się i szydziła Marcybella i nakoniec rzekła: „Mnie się zdaje, iż on pewnie zabił naszego dowódcę, króla olbrzymów, bo miecz ma jeszcze skrwawiony, jeżeli tylko to nie jest rdza!“ Wszystkie inne dziewice zawtórowały śmiechem temu żartowi, a jedna z nich chcąc się przypodobać swój pani, rzekła również z drwiącym uśmiechem: „Ależ, księżniczko! zupełnie niesłusznie śmiejecie się z tego rycerza! Muszę go wziąć w swą obronę, bo jest taki piękny i smukły i serce me zaczyna się skłaniać ku niemu. Ach, jakżebym chętnie

chciała go do piersi przycisnąć!“ I jeszcze nie na tém miały się drwiny skończyć. Trzecia bowiem z rzędu dziewczica podniosła się i rzekła: „Dajcie mu pokój waszymi drwinami. Ten zarzewiały rycerz do mnie należy i moim zostanie oblubieńcem!“

I śmiały się znowu. Ale Florens nie zważał na to wcale, przybliżał się tylko coraz więcej ku namiotowi, wzrok jego spoczywał ustawicznie na królewnie, a usta szeptały: „Dla dzisiajszej chwili gotów jestem ciało me i życie poświęcić! Jeśli nie otrzymam pocałunku od królewny, nie powrócę prędzej do Paryża!“ Marcybella stała ciągle przed swoim namiotem, ciekawa, czego tajemniczy rycerz pożąda. Florens jednak zdawał się na nią wcale nie uważać, cichaczem tylko przysuwał się coraz bliżej, wyprostowawszy się dumnie, a gdy tylko na jeden krok od niej był oddalony, nachylił się nagle, pochwycił ją silnie w pól, a podniósłszy jedną ręką do góry, osadził przed sobą na koniu. Potém spiął konia ostrogami i popędził szybko, przyciskając skradzioną namiętne do piersi i obsypując pocałunkami. Gdy bowiem miał ją w swój mocy i tak blisko siebie, iż czuł gorąco jęj ciała i oddech jęj ust, uczuł, iż w sercu jego zrodziła się i głęboko utkwiała namiętna miłość ku córce królewskiej. Marcybella była w ogromnym przestachu. Rzecz cała stała się tak szybko, iż nie miała czasu się zorientować i nie wiedziała na-

wet, kto ją porywa: chrześcijanin czy poganin? Poczęła tedy wołać rozpaczliwym głosem: „O boże Mahometa! Czyż nie ma żadnego odważnego rycerza, któryby mi pospieszył z pomocą? O, ojczy kochany! już cię więcéj nie zobaczę!“ Głos jéj dotarł przecie do obozu. Natychmiast liczni rycerze tureccy powsiadali na koń i dobywszy swych krzywych szabel lub włóczni i dzid, poczęli ścigać uciekającego, aby mu zdobycz odebrać! Florens pędził szybko daléj i nie tracił nadziei na szybkim swym rumaku ująć poganom tureckim. Przyciskał ciągle i całował namiętne Marcybellę, mówiąc: „Jakże szczęśliwym jest ten, co tak drogi skarb zdobył dla siebie! O, nie smuć się księżniczko Marcybello, nic ci się złego stać nie może z méj strony, jesteś bowiem celem mojego życia i duszą méj duszy, a w krótkce zostaniesz moją małżonką!“ Dziewica milczała — od czasu tylko do czasu westchnienie falowało jéj piersią. Tymczasem niewierni nachodzili już Florensowi niemal na stopy. Już słyszał złowrogie ich głosy, głoszące mu śmierć, jeżeli córki sułtana nie porzuci; czas więc było już myśleć o obronie. Florens czuł, że z zdobyczą swoją długo uciekać nie potrafi, a o obronie ani mowy być nie może, jeżeli się jéj nie pozbędzie; ucałował ją więc jeszcze kilka razy serdecznie, a że się opierała, kawał jéj odzienia pozostało w jego ręku — i spuścił ją lekko z konia na ziemię, mówiąc: „Ra-

częj wszystko wolałbym utracić, niż ciebie, ale tym razem czynię to z konieczności! W krótkim czasie znów będę u ciebie, a odtąd nie przestaniesz już być najukochańszą mojego serca. Bo wiedz, że jam cię rycersko odbił królowi olbrzymów, który zabity, leży pod murami Paryża, a głowę jego przesłałem w darze królowi Dagobertowi. Do mnie więc teraz należysz, on już nie może mieć żadnych praw do ciebie!“ Dzie-wica z przyjemnością tajemną słuchała tych słodkich słów rycerza, nie przestawała jednak wołać o pomoc i w tejże chwili więcej niż stu pogan otoczyło dzielnego Florensa i z dobytymi mieczami uderzyło na niego. Ale i Florens nie tracił czasu daremnie i swym mieczem dzielny stawiał im opór, iż wielu z nich padło rannych śmiertelnie, inni zaś przestraszeni, wołali: „To chyba nie człowiek, ale żywy djabeł z piekła samego!“ „Gdzie jest ten djabeł?“ — zawołali dwaj królowie pogańscy — „my go tu zaraz napowrót do piekła wyślemy!“ „Tu jestem!“ — odparł Florens i stoczył z nimi bój zacięty, dopóki obaj zabici nie leżeli na ziemi. Krzyk zgrozy podniósł się teraz pomiędzy niewiernymi. Emir perski, zobaczywszy, co się dzieje, pospieszył pomścić śmierć swych poprzedników i uderzył na Florensa swą włócznią, chcąc go nią przebić, ale dzielny młodzieniec dobrze wymierzonym cięciem wytrącił mu broń z ręki. Poczém odrzucił szybko

włócznie, a dobywszy miecza, rozplątał nim emirową głowę na dwoje, iż tylko martwy trup spadł z konia na ziemię. I tak dwunastu pogan zabił już Florens własną ręką; ale widząc coraz bardziej wzrastającą liczbę nieprzyjaciół, których wściekłość potęgować się poczęła, musiał w ucieczce szukać ocalenia własnego życia. Na drodze zobaczył naprzeciw sobie pędzącego ojca Klemensa z dwustu dobrze uzbrojonymi Francuzami, których król Dagobert na pomoc mu przysłał i nowa w jego serce wstąpiła otucha, inaczej bowiem byłby padł niezawodnie pod mieczami nieprzyjaciół. Wrócił się więc i współ ze swoimi uderzył na niewiernych, którzy też po krótkiej chwili oporu poszli w zupełną rozsypkę. Marcybella również coprędzej pobięła ku namiotom, aby w nich szukać schronienia. Mnóstwo pogan poległo a ci, którzy zdołali uciec, donieśli o tej klęsce sułtanowi. Klemens jakkolwiek stary i dawno w bitwach nie biorący udziału, mógł w tej potyczce niejednemu rycerzowi służyć za wzór i koniecznie rycerstwo chciał do dalszej nakłonić wycieczki, aż do Montmartre, gdzie się obóz Marcybelli znajdował. Ale Florens nie chciał iść za jego radą, wiedział bowiem, iż tam około trzech tysięcy dobrze uzbrojonych pogan się znajduje, „a przecież“ — mówił — „gdybym mógł memu koniowi zawierzyć zupełnie, odważyłbym się i na tę wyprawę!“ Tak byli wszyscy rozgrzani

44. *10. 12. 1807*

zapałem i rozochoceni. Namysłali się jeszcze, czy postanowienie to mają w czyn zamienić, gdy doszła ich radosna wiadomość, że nieprzyjaciele zaskoczeni, nieprzygotowani tym nagłym napadem, o zupełnej myśli ucieczce. Nie namysłali się już więc Florens ani ojciec jego długo, lecz na czele swoich śmiało uderzyli na Turków i zmusili ich do pozostawienia wszystkiego, a ucieczki do głównego obozu sułtana na Dampmartin. W gonitwie tej za nieprzyjacielem położyli Francuzi przeszło dwa tysiące pogan trupem, zniszczyli zupełnie ich obóz i około sześciu tysięcy marek w złocie uwieźli z sobą jako zdobycz do Paryża. Radości zwycięzców nie było też niemal końca. Poganie zaś szerząc żałosne skargi i wyrzekając przeciwko własnemu bogowi, iż ich opuścił wśród walki, dotarli nareszcie do kwatery samego sułtana i opowiedzieli mu o smutnym rezultacie starcia. Sułtan starał się o ile możności natchnąć w nich odwagę i pocieszyć, mówiąc: „Nie bójcie się! Mam ja jeszcze w moim obozie dwudziestu pięciu walecznych królów, pieniędzy i żywności pod dostatkiem na całe cztery lata! Potrafimy jeszcze pokonać Francuzów!“ Gdy mu jednak opowiedziano o śmierci króla olbrzymów i o rycerzu zapleśniałym, który o mało, że córki jego nie uwiózł do Paryża, rzucił się sułtan w gniewie jak wściekły na ziemię, targał się za brodę i włosy i poprzysiągł na swoją królewską koronę

nie odstąpić prędzój od Paryża, dopóki całej Francyi nie zniszczy, wszystkich Francuzów nie wytepi, a króla ich haniebną każe stracić śmiercią.

Nie domówił jeszcze słów ostatnich, gdy córka jego Marcybella z całym swym dworem przybyła z pospiechem na koniu. Zeskoczywszy zeń coprędzój, pobiegła do ojca, uklękła przed nim a ze zmęczenia ani jednego nie mogąc wymówić słowa, wilgotnemi tylko oczyma skarżyła się ojcu. Sułtan podniósł córkę, a będąc o wszystkim uprzedzonym, starał się ją pocieszyć. „Nie płacz“ — mówił — „me dziecię. Wszystko uczynię, aby cię uspokoić. Srogo pomszczę śmierć twego narzeczonego, nieszczęśliwego króla olbrzymów! Rycerza, który go zabił, każę spalić na popioł! Nie smuć się więc moja córko, a tymczasem idź z swemi towarzyszkami do namiotu i odpocznij sobie po tym wypadku!“ „Niech się stanie twoja wola ojcie“ — odpowiedziała na to Marcybella — „zemścić musisz się na chrześcijanach, choćby dla tego samego, że między nimi znajduje się pleśnią okryty rycerz, który blisko milę wiozł mnie ze sobą na koniu i gdyby nie przeważająca siła naszych, byłby mnie niezawodnie uprowadził do swego obozu!“ Powiedziawszy to, pożegnała ojca i poszła z otaczającymi ją pannami do swego namiotu, gdzie miękkie oczekiwało ją posłanie. Nie mogła jednak na niém piekna

księżniczka wcale usnąć, dręczona tajemnym jakimś pragnieniem, przewracała się z boku na bok i przez całą noc nie miała ani chwili spokoju. Iskra miłości tajemniczą ręką ku zapleśniałemu rycerzowi w jej sercu wzniecona, wzrastała coraz bardziej i stopniowo w większy zamieniając się ogień, paliła jej ciało; ciągle tylko on i jego pocałunek stał jej na myśli, zapomnieć o nim nie mogła i lubo o czém inném z towarzyszkami swemi rozmawiała, przecież na usta jej machinalnie wychodziło imię rdzą okrytego rycerza. „O, boże Mahometa!“ — wołała — „któż pomoże mojemu cierpieniu!? Nieszczęsna godzina, w której po raz pierwszy tego rycerza ujrzałam, nieszczęśliwsza jeszcze, gdy mnie pocałował po raz pierwszy. O, uścisk ten pali mnie dotąd jak ogień! Jakże piękném było jego oblicze, jak wspaniałą jego postawa, gdy mnie porywał na konia. O, boże Mahometa, dla czegoż on nie urodził się w prawdziwej wierze twojej!? Ale gdyby się nawrócił! Wówczas nie mogłabym zaprzeć przed nim mojej miłości; żaden z chrześcijańskich rycerzy nie zrobił na mnie tak silnego wrażenia, jak on — ten jeden! O, on nawróci się, i musi być moim!“

Nazajutrz rano, przebudziwszy się, uczuła się tak słabą, iż z łóżka powstać nie mogła i upadła bezwładnie na poduszki. Nie mogła jednak długo i w łóżku pozostać, przewracała się z boku

na bok, płakała, wreszcie wstała i kazała się ubrać, ale znowu nie miała wewnętrznego spokoju; czuła, że jęj coś brakuje, a nie wiedziała gdzie szukać ulgi dla swych cierpień. Dziewice otaczające ją, widząc pożałowania godny jęj stan, pytały troskliwie o przyczynę smutku. „Co Wam leży na sercu, pani“ — badały — „powiedz nam, a może ci ulżymy w boleści!“ „Ach, ja sama nie wiem, co mi dolega“ — odpowiedziała Marcybella — „a chociażbym wiedziała, to nie powinnam wam tego powiedzieć!“ Ale towarzyszkii jęj nalegały tak silnie, iż w końcu widziała się zmuszoną, wyjawić im to, co dotąd przed samą sobą ukrywała.

„Kochane przyjaciółki!“ — rzekła — „otóż musicie wiedzieć, iż gwałtowną miłością pokochałam owego rdzą i pleśnią okrytego rycerza, który aż do Montmartre dotarł na swym koniu i uwieźć mnie z sobą usiłował! Ciągłe obraz jego stoi mi w myśli, wspomnienie jego dręczy mnie nieustannie i wiem, że prędzej nie będę mieć spokoju, dopóki go w swym objęciu nie zobaczę! Ale gdy chwila ta nastąpi, musi już przy mnie na zawsze pozostać i przyjąć wiarę mahometzańską. Jeżeli zaś tego nie uczyni, to spalą go niezawodnie albo haniebnie na szubienicy zawieszą!“

Na słowa te królewnej podniosła się jedna z najzacniejszych dziewcz otoczenia, córka króla

Azyi, imieniem Atymedes i rzekła: „Nie godzien jest zaiste ów rycerz, abyś sobie miłościwa pani nim głowę zaprzętała. Wszak można po jego starém uzbrojeniu poznać, z jak nizkiego musi pochodzić rodu, a zresztą jest chrześcijaninem a zatém wrogiem naszej wiary! Na dworze waszego ojca znajduje się jeszcze wielu dzielnych synów królewskich i książąt, z których wybrać możesz, którego zechcesz; każdy będzie godnym ciebie mężem! Dla tego też radzę ci szlachetna pani, wybij sobie z głowy tego chrześcijańskiego rycerza!“ „Ach“ — wyjęła z płaczem Marcybella — „tego, co jest najmiłszém sercu, zapomnieć niepodobna! Nie może on też być, jak powiadasz, nizkiego rodu, bo temu zaprzecza jak najwyraźniej jego wyniosła postawa i szlachetne rysy twarzy. Może tylko umyślnie przywdział na siebie ową rdzawą zbroję! Ach, wiedźcie wszystkie, że jeżeli on się ze mną nie połączy, to życiu mojemu wielkie grozi niebezpieczeństwo!“ I upadła płacząc na łóżko, a otaczające ją dziewice nie potrafiły jej boleści złagodzić.

---

Po zwycięstwie nad poganinami, wjeżdżał Klemens na czele Francuzów uroczyście do Paryża, mając radością przepełnione serce, a liczne wozy z bogatym łupem tureckich zapasów. Obok niego jechał Florens, a przed nim jak godło zwycięstwa niesiono miecz zardzewiały. Książęta

i liczni panowie wyjechali im naprzeciw z wielkiem uszanowaniem i towarzyszyli im aż do pałacu królewskiego. Każdy mieszkaniec Paryża cisnął się, aby zobaczyć zwycięzców. Gdy nareszcie stanęli przed pałacem i poczęli zsiadać z koni, pospieszył coprędzej cesarz Oktawian i pomógł bohatarowi dnia dzisiajszego Florensowi wyskoczyć z siodła. A nie wiedział nic, że przysługę tę czynił własnemu, rodzonemu synowi. Nasz młodzieniec wzięwszy zaś do ręki swój zardzewiały miecz, otoczony świetnem rycerstwem, stanął przed królem Dagobertem i prosił o pozwolenie mówienia. Otrzymawszy je, ukląkł u stóp tronu i w te odezwał się słowa: „Najmiłościwszy Panie! Ojciec mój Klemens przyniósł Wam w darze głowę olbrzyma, ja zaś przynoszę Wam miecz, którym tego czynu dokonałem. Wam się one należą, jako głowie naszej ojczyzny, który dzięki Bogu, już nam więcej szkodzić nie będzie! Chciój więc, miłościwy królu, przyjąć ten miecz odemnie w podarunku!“ Król, wysłuchawszy mowy Florensa, spojrzał mu w twarz wzrokiem poważnym a dobrotliwym, podziękował głośno i kazał usiąść obok siebie. Florens jednak nie chciał się na to zgodzić pod żadnym warunkiem, mówiąc, iż nie godzi mu się siedzieć obok króla. Dagobert starał się go przekonywająco do tego nakłonić, mówiąc: „Zasłużyłeś na to dzielny młodzieńcze, jutro też o stósownym czasie pragnę

cię pasować na rycerza! Dam ci wielkie dobra w mém państwie i w moim pałacu wespół ze mną musisz mieszkać; i w bitwie nie będziesz mnie odstępował, ale zawsze przy moim boku cię chcę widzieć!“

Usłyszawszy te słowa króla, Klemens zawołał: „O .Panie i królu, aczkolwiek wola twoja jest taka, nie chciałbym, aby syn mój został rycerzem, bo wtedy opuści mnie, a ja go tak kocham i zawsze pragnąłbym mieć go przy sobie. Będzie brał udział we wszystkich walkach i łatwo tedy zginąć może, a ja bym nie przeboleł jego straty! Daleko lepiej wolałbym, aby został kupcem, bo zajęcie to opłaca się i wielkie przynosi korzyści!“ „Ależ ojcze!“ — rzekł na to Florens — „jeżeli wola królewska jest uczynić ze mnie rycerza, to nie opierajcie się temu, ale raczej złożcie za tę łaskę podziękowanie!“ Wtedy Klemens upadł przed królem na kolana i rzekł: „Niech się więc stanie z synem moim według woli Waszego Majestatu, tylko aby to wszystko wiele nie wymagało kosztów, bo nawet nie wiecie, ile mnie ten syn do dziś dnia kosztuje!“ Dagobert nie mógł się wstrzymać od śmiechu z téj naiwności pocziwego Klemensa, do Florensa zaś rzekł: „Jest więc moją królewską wolą, abys jutro został pasowany na rycerza!“

Potém rozkazał król wbić głowę olbrzyma na wysoki pal i postawić go na wielkim placu,

aby wszyscy mieszkańcy Paryża to dziwo oglądać mogli. Zaledwie zaś ranek zaświtał, zebrali się wszyscy książęta i panowie, aby w rycerskiej uroczystości Florensa uczestniczyć. Jeden z najpierwszych przybył cesarz Oktawian, który od pierwszej zaraz chwili nadzwyczajnie polubił Florensa i dziwną ku niemu czuł skłonność. Na jego widok zawsze mu przypominała się żona i niewinne dzieci. I tym razem też nie mógł się wstrzymać, lecz pocałował w czoło Florensa. Po Oktawianie przybył natychmiast król hiszpański, potem książę irlandzki, książę austriacki i inni liczni znakomici panowie, a wszyscy ubiegali się w służeniu młodemu rycerzowi. Uzbrojenie też jego szybko postępowało. Piersi i plecy zdobił przepyszny pancerz, bogato złotem i kamieniami wysadzany. Oktawian przypiął mu naramienniki i żelazne okrycie nóg, książę austriacki włożył mu hełm na głowę, ozdobiony szczerozłotymi guzami. Nakoniec sam król francuzki przywdział mu złoty pierścień na środkowy palec u prawej ręki i rzekł: „Bóg, który wszystko z nicości powołał do życia i o wszystkiem pamięta, oby cię miał w Swój opiece i pozwolił chlubnie i zdrowo wytrwać w nowym stanie rycerskim!”

Klemens czekał spokojnie na uboczu, dopóki się ta cała ceremonia uzbrojenia nie skończy. Widząc w końcu, iż syn jego nie ma jeszcze ostróg, zawołał naiwnie: „O, panie i królu, pozwól mi

samemu Florensowi przypiąć ostrogi!“ Król uśmiechnąwszy się, zezwolił na to chętnie, a Klemens natychmiast ukleknął na ziemi i wziął się do dzieła. Podano mu ostrogi z najczystsze go zrobione złota, długo jednak namozolił się, zanim je przypiąć potrafił, zapomniał bowiem, jak się to czyni, nie mając podobnych rzeczy przeszło od trzydziestu lat w użyciu. Zdawało mu się, iż ostrogi chyba są źle sporządzone, bo trudno rozróżnić, która na którą nogę, tak jednakowój obydwie są formy. „Wczoraj nie mieliśmy ostróg a i tak pobiliśmy pogan“ — mruczał pod nosem, z czego wszyscy obecni serdecznie się uśmiali. Gdy wreszcie dokonał trudnego zadania, podniósł się z ziemi, a Florens stanął przed wszystkimi uzbrojony od stóp do głowy a tak rycerską miał postawę, iż obecni dość temu nachwalić się i nadszywić nie mogli.

Potém rozkazał król w swym ogrodzie przy-  
mocować do pala dwa silne pancerze i dwie  
wielkie tarcze, które nowy rycerz według dawnego  
francuzkiego zwyczaju, miał jednym zamachem  
strącić. Zaprowadzono też tam Florensa otoczo-  
nego licznym orszakiem książąt i królów, a Dago-  
bert wskazał mu, co ma czynić. Usłyszawszy to  
Klemens, który stał zaraz obok króla, zawołał:  
„Ach, miłościwy Panie! to jakiś wcale nie mądry  
zwyczaj! Lepiej, aby te ciosy zwrócić przeciw  
poganom, niż przeciw martwemu pancerzowi!“

Wszyscy znów rozśmiali się z téj naiwności starca, a Florens rzekł: „Przyjdzie jeszcze czas, kochany ojcie, w którym i poganom damy się dobrze we znaki! Teraz jednakże muszę spełnić wolę królewską, albowiem mam zostać rycerzem!“ „A więc niech ci Bóg użyczy szczęścia i pomocy we wszystkiém, co masz czynić!“ — błogosławił go ojciec. Florens nie namyślając się też wiele, spiął konia ostrogami i z taką siłą uderzył na zawieszone pancerze i tarcze swą dzidą, iż wszystkie spadły na ziemię, a uzyskawszy tym sposobem wolne miejsce, przesadził pał a stanął na przeciwnéj stronie. Wtenczas z ust zgromadzonego ludu wyrwały się tysięczne okrzyki podziwu i radości. „Bóg niechaj ma go w Swój opiece!“ wołali — „z pewnością musi on pochodzić z królewskiego rodu! Jakże szczęśliwym jest król Dagobert, iż posiada takiego rycerza; toż on w krótkim czasie wszystkich nam wrogów z kraju wypędzi!“

Tak świetne wystąpienie nowego rycerza ucieszyło i króla niezmiernie. Podeszedł przeto sam ku Florensowi i serdecznie uścisnął mu rękę. To samo uczynił i cesarz Oktawian, czuł bowiem już od pierwszej chwili jakiś nieprzeparty pociąg ku Florensowi. Teraz całe towarzystwo, z młodym rycerzem na czele, którego Klemens ani na krok nie odstępował, udało się napowrót do pałacu, gdzie wspaniała dla uczestników uroczystości

przygotowano ucztę. Zasiedli tedy wszyscy za zastawionymi stołami, a tymczasem odezwała się dźwięczna melodia orkiestry, umyślnie przez króla sprowadzonéj. Klemens widząc to wszystko zesmutniał nagle, myślał bowiem w swéj naiwności, iż jemu, jako ojcu rycerza, ku którego czci całą tę uroczystość odbywano, przyjdzie ponosić kosztą ucztę, a pewnie jeszcze i tym nieproszonym muzykantom zapłacić. Nie namysławiając się też wiele, porwał za kij w kącie stojący i wpadł z nim na muzykantów, wołając: „A pójdziecie wy ztąd precz niegodziwcy! Nie wiecie, że i bez was syn mój mnie tyle kosztuje, że gotów mnie wykierować na żebraka!“ A że przytém nie szczędził razów, wszyscy muzykanci, obawiając się, aby za nim jeszcze więcej nie nadeszło, porzucili coprędzój swe instrumenta i uciekli z pałacu, ku mieszkaniu króla. Gdy Florensowi o tym wypadku doniesiono, musiał się mimowoli wstydzić za swego ojca, a przywoławszy go do siebie, rzekł doń: „Ojcze! cóż uczyniłeś przez swoją nieroztropność! Oto wypędziłeś haniebnie z pałacu muzykantów, którzy mi na okazanie czci i ku rozweseleniu wszystkich obecnych, grać przyszli — a nadto porozbijałeś im wszystkie instrumenta, które im trzeba teraz podwójnie wynagrodzić!“ „Ależ, mój kochany synu“ — zawołał Klemens przestraszony — „ja zupełnie inaczej ich wystąpienie zrozumiałem, myślałem że sobie drwią z ciebie!

Ale gdy chcesz, to ja ich tutaj napowrót przywiodę!“ I mówiąc to, wybiegł szybko w kierunku pałacu za muzykantami, ale gdy ci go spostrzegli biegnącego ku sobie z kijem w rękę, poczęli jeszcze szybciej uciekać i wołanie Klemensa w większy ich jeszcze przestрах wprawiało. Nadaremna więc była ta gonitwa! W sali tymczasem śmiano się z tego zdarzenia i piękne panie musiały zaniechać tańców i znudzone do domu powrócić.

Teraz skorzystał cesarz Oktawian ze sposobnej chwili, ujął Florensa za rękę, a posadziwszy go obok siebie, tak się do niego odezwał: „Kochany Florensie, chciój mi szczerą prawdę powiedzieć, czy ten stary, naiwny Klemens, jest twoim prawdziwym, rodzonym ojcem?“ „Najjaśniejszy cesarzu!“ — odpowiedział na to Florens — „tego Wam sam nie umiem powiedzieć, wiem tylko, że kocham go jak własnego ojca. Jednak i to także prawda, że żona jego mówiła przed innymi, iż Klemens podczas swój podróży znalazł mnie na wybrzeżu morskiem, dobry kawał drogi niósł na własnych barkach, a wreszcie zmęczony kupił osła, na którym dowiózł mnie aż do samego St. Germain — i tu wychowywał jako własnego syna, aż do dnia dzisiejszego. Czy mówiła prawdę, czy też miała jaki cel w rozmyślném kłamaniu, nie wiem! Przy Was jednakże, najmiłościwszy cesarzu, tak mi jest jakoś miło,

jakbyście Wy, a nie kto inny byli mym prawym ojcem i na nikogo z serdeczniejszym nie spoglądam uczuciem, jak na Waszą cesarską Mość!“ „A czy znałeś swoją prawdziwą matkę?“ — zapytał go Oktawian. „Za pamięci mojej nie widziałem jej nigdy!“ — odparł Florens. Teraz nie wątpił już cesarz, że młodzieniec ten był jego rodzonym synem. Serce omal nie wyskoczyło mu z piersi, a usta ledwie, że nie wyszeptały: „Tak, ty jesteś mym prawdziwym synem; sama natura przez ciebie o tém przemawia!“ Nie chciał jednakże jeszcze swojego grzechu wyznawać, zwrócił przeto rozmowę na inny przedmiot i rzecz na tym samym stopniu pozostała. Tymczasem nakryto już stół, wszyscy doń zasiedli, a przepyszny potrawom nie było prawie końca.

Klemens podczas uczty stał przy wnijsciu. Ciągłe jeszcze był niespokojny, że jemu wszystko może zapłacić będzie trzeba i przemyślał, jakby się od tego zabezpieczyć. Uczta tymczasem się już skończyła, książęta powstali od stołu i każdy począł szukać swego wierzchniego odzienia, aby pożegnać króla i odejść. Rzecz dziwna — żaden bowiem swego płaszcza znaleźć nie mógł! Zapytani słudzy, żadnego w tym względzie nie mogli dać wyjaśnienia, Klemens bowiem wszystkich suknie pokryjomu pochował. Książęta śmiali się z początku z tego, nie wiedząc, co to miało znaczyć. Klemens także zakrywszy sobie twarz dło-

nią, śmiał się w duchu i mówił do siebie: „Tak to łapie się ptaszków! Gdybym był ich sukien nie pochował, byliby niezawodnie wszyscy poszli sobie nie zapłaciwszy za ucztę!“ Szmer niepokoju wzrastał tymczasem coraz bardziej, panowie jawnie skarżyć się poczęli, co widząc wreszcie Klemens, stanął w obronnej postawie przy wnijsciu i rzekł głośno! „Szlachetni panowie! Nie bójcie się, płaszcze wasze nie zginą, schowałem je bowiem starannie. Ale to wam powiadam, że nie wrócę ich wam wcześniej, dopóki nie zapłacicie za ucztę, każdy część swoją! Myślicie, że wam dam tak odejść spokojnie?“ Słyszając to Florens, zgniewał się i zawstydził zarazem, i nie wiedział, jak to wszystko załagodzić, a ojca swego obrażać nie chciał, kochał go bowiem bardzo. Umiarkował więc ile możności swój gniew i rzekł z uśmiechem na ustach: „Ależ, kochany ojcze! oddajcie nam nasze suknie!“ „Nie, stokroć nie, dopóki nie wrócą część kosztów“, była odpowiedź. Dopiero, gdy Florens ofiarował starcowi swego konia na zastaw, w razie potrzeby zapłaty, wydał tenże zatrzymane u siebie suknie właścicielom i wszyscy rozeszli się wśród wesołego śmiechu.

---

Minął dzień i noc nadeszła. Florensa myśli goniły ciągle za ubóstwianem obliczem Marcybelli, nie mógł przeto zasnąć. Serce jego paliło się ogniem miłości. Po długim, a daremnym moco-

waniu się z myślami, wstał z łóżka i przechodził się niespokojnym krokiem po pokoju tam i napowrót, wreszcie zawołał swego giermka i kazał sobie przynieść wszystko, co do uzbrojenia potrzeba. Przywdział na siebie w krótkiej chwili cały lśniący od nowości rysztunek i kazał sobie natychmiast konia osiodłać. Na pytanie giermka, dokąd o tej porze jechać myśli, odrzekł, iż nie powinno go to interesować, zresztą w krótcie powróci. Wsiadł więc na konia, którego mu przyprowadzono i o samej północy pojechał przez długie ulice Paryża aż do bramy miejskiej. Tu obudził siedzącego stróża i rzekł doń: „Kochany przyjacielu! Otwórz mi bramę, mam bowiem zewnątrz miasta ważną sprawę do załatwienia, która całej Francyi wielkie przyniesie korzyści!“ „Nie mogę tego uczynić“ — odparł strażnik — „mam bowiem pod utratą własnego życia zakazane dobrowolne otwieranie bramy!“ Florens nie przestawał pomimo tego nakłaniać strażnika, zapewniając go, iż mu się nic złego nie stanie, owszem król wynagrodzi go jeszcze, przytém ofiarował hojną zapłatę, iż tenże wreszcie dał się namówić, otworzył potajemnie bramę i wypuścił rycerza za miasto.

Teraz Florens szybko popędził konia, zwracając go ku obozowi sułtana i nim jeszcze zupełnie dzień zaświtał, niedaleko się już znajdował od namiotów pogańskich, choć o pięć mil od

miasta były oddalone. Były one wszystkie bogato przyozdobione, jednak wszystkie przewyższał swą wspaniałością namiot samego sułtana, tak bogato złotem i drogimi kamieniami obsypany, iż blask rozpraszał naokół. Z obozu dochodził go krzyk pogan, wrzask trąb, pisk piszczałek i huk bębnow, iż na razie przejął go strach. Prędko jednak otrząsnął się z niego wspomniawszy na swe poprzednie czyny, taką odwagą się cechujące i podążył dalej, mówiąc sam do siebie: „Niech się dzieje, co chce! Dzisiaj jeszcze muszę widzieć sułtana, rozmawiać z nim i wyjawić mu mój cel przybycia do obozu!“ W miarę im bliżej do obozu dojeżdżał, więcej napotykał pogan, dzikoniań spoglądających, iż mimowoli znowu przejmował go strach. „Gdyby mi się bić z nimi przyszło“ — mówił — „to polegnę, bo ich jest tak przeważająca siła, a uciec też nie zdołam, bo mają szybsze konie od mojego!“ Zszedł więc z konia, uciął gałązkę w pobliżu rosnącego drzewa oliwnego i przypiął ją sobie do piersi, na znak, iż jest posłańcem królewskim, a polecivszy się opiece Bozkiiej, wsiadł znów na swego rumaka i z lżejszém sercem pojechał dalej. Kilku dobrze uzbrojonych pogan zmierzało już w zaczepnej pozycji ku niemu i chciało nań uderzyć, ale wszyscy odstępowali zaraz za pierwszym zbliżeniem się, ujrzawszy gałązkę oliwną na piersi rycerza, która nawet u pogan jest znakiem po-

koju. Byli zatém pewni, że młody rycerz jest posłańcem do sułtana i może mu pomyślne wieści przywozi od króla Dagoberta. Tak więc nie zaczepiony przez nikogo, dotarł Florens aż do samego namiotu sułtana; tu zsiadł z konia, przywiązał go do drzewa, a sam wszedł z rycerską miną do wnętrza.

Sułtan siedział właśnie w całym królewskim majestacie na tronie, tak bogato ozdobionym, iż za cenę jego nie jedno księztwo kupić by można. Około niego zajmowało miejsca szesnastu królów. Florens zdumiał się tą potęgą władcy Wschodu, prędko jednak wyprostował się dumnie, podniósł przyłbicę u hełmu, aby tem wyraźniej móżdżk mówić i w te odezwał się słowa: „Bóg, który z nieba zstąpił na ziemię i za ludzi śmierć poniósł na krzyżu, Ten ci jest, który codziennie wzmacnia ramię króla Dagoberta i pozwoli mu pokonać wszystkich swych nieprzyjaciół, a przede wszystkim ciebie, sułtanie i królu babiloński! Słuchaj więc rozkazu królewskiego, który żąda od ciebie, abys stawiał się przed nim i w pokorze prosił o łaskę i przebaczenie, iż ośmieliłeś się wtargnąć w nasz kraj! Jeżeli tego nie uczynisz, to nie zobaczysz więcej swojej ojczyzny, ani cały lud twój. Głowa twoja zostanie ściętą, możesz być tego pewnym. A teraz namyśl się jaką masz dać odpowiedź!” Sułtan usłyszawszy te słowa, nie posiadał się z gniewu i złości. Chwycił

ostry nóż wiszący u jego boku i rzucił go na Florensa z taką siłą, iż wbił się na trzy palce głęboko w ścianę namiotu, uważny bowiem młodzieniec uchylił się zręcznie od wymierzonego nań ciosu w samą porę, aczkolwiek przestraszył się bardzo. Ale i sułtan począł żałować tego nagłego kroku, uważał bowiem Florensa jako posła królewskiego i dla tego rzekł doń: „Na proroka, powiadam ci, że gdyby nie charakter twój jako posła, posiekałbym cię w kawałki. Bądź jednak o życie swe spokojny, a żem godził przed chwilą na nie, chcę cię za to wynagrodzić; weź sobie oto ten worek z czterystu dukatami, wracaj do twego króla i powiedz mu moją odpowiedź, że jeżeli sam do naszego prawdziwego boga się nie nawróci i służyć mu nie będzie, to ja nie wrócę do mego kraju i spokoju mojego serca mieć nie będę, dopóki go nie zabiję, a kraju jego w perzynę i pustynię nie zamienię!“

Zaledwie tych słów sułtan dokończył, gdy weszła córka jego Marcybella, otoczona swym dworem i mile ojca swego pozdrowiła. Wszyscy z uszanowaniem powstali na jej powitanie, poczem ojciec poprowadził ją do tronu, na którym obok niego usiąść musiała. Wyglądała dziś prześlicznie, śliczniej niż kiedykolwiek; ubrana była w różową jedwabną suknię, dobrze jej cudowne uwydatniającą kształty, a tak cienką i delikatną, iż całe ciało niemal przez nią przebijało. Na sukni téj

wyszywane były złotem rozmaite kwiaty, ozdobione drogimi kamieniami. Gdy w tak cudownej postawie królową swych myśli, Florens zobaczył, na chwilę utracił przytomność i nie wiedział, gdzie się znajduje. Wzrok Marcybelli padł także przypadkowo na niego i poznała go natychmiast; zbladła i drżąca, chcąc ukryć tłumione wzruszenie, przystąpiła doń bliżej i rzekła niepewnym głosem: „Powiedz mi, o chrześcijanie, czy nie znasz ty na dworze króla Dagoberta pewnego rycerza, który wystąpiwszy do boju w plesnią okrytej zbroi, położył trupem króla olbrzymów pod murami Paryża? Pragnienie moje, aby go zobaczyć, jest wielkie. Nie pragnę zaś tego z miłości, którą dlań chowam w mém sercu, ale dla tego, że mając go raz w swój mocy, wydałabym go na straszną śmierć, albowiem on zabił mojego kochanka!“ Tu westchnęła królowa ciężko i rzuciła gorącym spojrzeniem na młodzieńca i ciągnęła dalej, sama prawie nie wiedząc, czy powinna to powiedzieć, co mówi. „O gdybym mogła mieć tutaj tego rycerza, który mnie chciał uwięzić do Paryża, on musiałby być oparciem wszystkich moich westchnień! Ach, niezgłębioną boleść wszczepił mi w serce swym pocałunkiem, a że się zemścić na nim nie mogę, to jeszcze dodaje mocy moim męczarniom!“ Sułtan i otaczający go królowie nie rozumieli dobrze téj mowy, ale Florens wiedział do czego zmierza. Oddawszy tedy po-

korny ukłon, rzekł: „Znam dobrze tego rycerza, piękna królewno! Jest razem ze mną na dworze królewskim, w wysokości i chodzie jest zupełnie do mnie podobny, a nawet z postawy i z ruchów podczas walki trudno nas rozróżnić. Również jest on gorliwym wyznawcą Chrystusa, a zapamiętałym przeciwnikiem niewiernych, jak ja! A czyniąc mu jakąkolwiek przykrość z własnej woli, czynisz niesprawiedliwie, bo mam to silne przekonanie, że Was kocha nad wszystko. Jako znak nosi na swym hełmie prawy rękaw Waszej sukni, który mu się dostał podczas szalonej jazdy z Wami na koniu, abys piękna królewno zawsze o nim myślała, gdziekolwiek go w odmęcie walki obaczysz!“

Teraz tém więcej upewniła się Marcybella, że rycerzem tym był Florens, a nie kto inny i byłaby chętnie dłużej z nim rozmawiała, gdyby nie bała się ojca.

---

Florens wskoczył teraz prędko na konia, a odjeżdżając, krzyknął do namiotu sułtana: „Uchodzę tym razem ztąd spokojnie! Ale ponieważ rzuciłeś na mnie nożem niesłusznie, pożałujesz tego w krótkce. Życie twoje stoi na końcu mojej włóczni!“ „Co mówisz łotrze?“ — krzyknął rzucając się jak wściekły sułtan — „zdradzasz się twemi pogroźkami i nie jesteś posłańcem królewskim!“ A odwróciwszy się do swego otocze-

nia, krzyknął: „Moi królowie i książęta! zabijcie mi tego niegodziwca na miejscu!“ Turcy nie namyślając się też wiele, rzucili się za Florensem, rzucając z swych łuków niezliczoną ilość strzał w kierunku uciekającego. Ale Florens zwrócił nagle przeciw nim konia, dobył miecza i z taką uderzył gwałtownością, że w krótkim czasie dwóch królów trupem położył, a trzech innych barbarzyńców ciężko poranił. Jednak koń jego otrzymał silny pocisk od strzał nieprzyjacielskich, z trudem więc mógł na nim się posuwać! Ścigający tymczasem przybliżyli się już doń zaledwie na kilka kroków; było ich wszystkich trzystu, a na czele ich król Alamfacyi, który ufny w swą siłę i odwagę, spodziewał się odnieść nad rycerzem zwycięztwo. „Stój! nikczemniku“ — zawołał — „śmierć musisz znaleźć z méj ręki!“ Florens rzeczywiście jakby usłuchał wezwania, zatrzymał konia i zwrócił go potem przeciwko królowi. Włócznie obydwóch przeciwników złamały się przy pierwszém silném natarciu i skruszone upadły na ziemię. Dobyli więc teraz mieczów i długo walczyli z jednakowém powodzeniem. Wreszcie udało się Florensowi wymierzyć tak zręczne cięcie, iż zrzucił królowi hełm, a głowę na dwoje rozplątał. Pobity spadł krwią zalany z konia na ziemię. Wówczas Florens nie czekając, aż poganie dościgną go znowu, wsiadł prędko na zdrowego konia poległego przeciwnika

i pogonił, jak mógł najszybciej ku Paryżowi. Ale i raniony koń nie chciał swego pana opuścić i pędził za nim aż do samej bramy miasta.

---

Gdy poganie przybyli na miejsce, w którym nieszczęśliwy król Alamfacyi leżał w krwi własnej, zasmucili się tak bardzo i przejęli boleścią, iż nie myśleli nawet o dalszej pogoni. Zwłoki poległego wzięli na ramiona i wśród głośnego płaczu, według pogańskiego zwyczaju, zanieśli je do obozu, opowiedziawszy sułtanowi wszystko, co z rzekomym posłańcem im się wydarzyło, jak nakoniec zabił króla Alamfacyi i uciekł na jego pięknym koniu, który więcej wart jest złota, niż waży. Sułtan wściekał się ze złości, usłyszawszy tę smutną wiadomość, porwał kij i jak szalony począł nim okładać marmurowy posąg swego bożka, wołając: „O, niegodny proroka Mahometa! Jak mógłśś dozwolić temu nikczemnikowi ujsć cało, ażeby poległ mój przyjaciel i brat kochany i dzielny król Alamfacyi!“ Kazał zaraz na wielki plac obozowy zwołać wszystek lud i tak się doń odezwał: „Panowie i przyjaciele moi, wiecie jak olbrzymie szkody poczynił nam rycerz chrześcijański, który niespodzianie wtargnął do naszego obozu. Krzywdy te wymagają koniecznej pomsty, dla tego uzbrójcie się wszyscy, bo miasto Paryż muszę zniszczyć do szczętu. Wyślę w celu oblężenia go ośmdziesiąt tysięcy męża, a gdy się król

Dagobert i jego posłaniec w moje ręce dostanie, skażę ich obydwóch na śmierć przez srogie męczarnie!”

Z tych słów ojca dowiedziała się niespokojna o los swego kochanka Marcybella, iż szczęśliwie uszedł pogoni, położywszy trupem króla Alamfacyi. Ucieszyła się też z tego niezmiernie i polecała w duchu Florensa opiece boga Mahometa.

Dzielny nasz rycerz dotarł tymczasem szczęśliwie do bramy miasta, a gdy mu ją otworzono, pozdrowił uprzejmie strażnika i ofiarował mu swego konia w podarunku. „Nic nie szkodzi, że jest raniony“ — rzekł — „wnet bowiem się wyleczy i będzie jeszcze wart przynajmniej pięćdziesiąt koron.“ Ucieszony takim darem strażnik, ugiął, dziękując, kolana i zapewnił Florensa, iż odtąd, kiedy tylko zechce, zawsze mu bramę otworzy. Wieść o powrocie Florensa szybko rozeszła się po mieście, wszyscy spieszyli na jego powitanie, sam nawet król zaprosił go do swego pałacu.

---

Sułtan uczynił, jak poprzysiągł. Dzień niepełna upłynął, gdy wysłał wszystko swe wojsko pod mury Paryża, aby go szturmem zmusić do poddania. Oblężono go tedy z trzech stron, naokół wsi popalono, wieśniaków pozabijano, podobierawszy im wprzód cały dobytek. Ale

i z strony przeciwnéj nie szczędzono przygotowań. Dagobert zawezwał wszystkich rycerzy pod broń, a jeden z pierwszych stanął nasz Florens, w świetny pancerz okuty na wywalczonym koniu Alam-fatina. Poprzysiągłszy sobie, iż każdy walczyć będzie do ostatnieéj kropelki krwi, wyruszyli Francuzi za miasto i dzielnie natarli na szturmujących Turków. Najdzielniejszym wojownikiem zdawał się być sam król francuzki; żaden cios jego nie chybiał, czy był skierowany ku człowiekowi, czy też ku koniowi. I cesarz Oktawian walczył nie mniej dzielnie, włócznią swą torując drogę po trupach niewiernych. Również książę austriacki i król hiszpański dokazywali cudów męstwa — ale przecież nikt nie mógł przewyższyć Florensa w odwadze i zręczności. Jemu nie mógł dotrzymać miejsca żaden rycerz nieprzyjacielski, gdzie się tylko ukazał, wszystko uciekało w popłochu. Turcy przecież ustępować z placu boju nie myśleli i starali się ciągle na swą stronę przechylić zwycięstwo. W odmęcie walki udało im się otoczyć Dagoberta, który przecież na wszystkie strony o ile możności ciosy odbijał. Zbroja jego w kilku miejscach była już przedziurawiona, a w końcu zabito pod nim konia. Mężny rycerz stojąc na ziemi, bronił się jeszcze jak lew nieprzyjaciółom, ale w końcu opuściły go siły i zawołał głosem rozpaczliwym: „O Boże i święty Dyonizyszu!“ okrzyk ten usłyszał Florens, walczący opodal —

poznał zaraz głos króla i pospieszył mu na pomoc, ścieląc doń drogę trupami. Pierwszego powalił króla perskiego, na którego konia posadził Dagoberta, wołając: „Nie trać nadziei panie! wnet pokonamy naszych wrogów!“ Teraz dopiero rozpoczęła się walka na dobre i obustronnie wiele krwi przelano. W końcu jednak siły pogan słabnąć poczęły, nie mogli wytrzymać tak silnego natarcia i w popłochu poczęli uciekać. Florens z cesarzem Oktawianem i królem hiszpańskim ścigali ich blisko dwie mile i zabili podczas ucieczki około pięć tysięcy pogan. Cała okolica pod Paryżem była trupami pogan zaśłaną; tu i ówdzie umierający wzywali jeszcze pomocy, a krew płynęła gdyby strumieniem. Wszystkich pogan w dniu owym poległo trzydzieści tysięcy z górą. Z radosném sercem wracał Dagobert na czele zwycięzców do Paryża, pobici zaś pobiegli czemprędzej do kwatery sułtana na Dampmartin, aby mu donieść o rezultacie walki. „Na Boga i proroka“ — rzekł tenże — „klęska ta musi być pomszczoną; zbiorę jeszcze czterdzieści tysięcy wojska i wyślę powtórę do szturmu na Paryż a owego rycerza gdy schwycę, każę końmi na ćwierci rozerwać!“ Poczém zawezwał pozostałych mu siedmiu królów i oddał wojsko pod ich rozkazy. Marcybella słysząc pogróżki ojca, modliła się w duchu, aby Florensa od wszelkiego złego Bóg zachować raczył, do sułtana jednak

*Wie tyje en felder past  
me poverden*

rzekła głośno: „Kochany ojcie — jedném z najgorętszych mych pragnień jest, aby ten rycerz, który zabił mego kochanka, dostał się w twoje ręce! A musisz wiedzieć, że mam plan, na podstawie którego potrafię go ci pochwycić!“ „A to jakim sposobem, kochana córko?“ — zapytał ciekawie sułtan. „Przedsięwzięcie moje jest następujące“ — odrzekła Marcybella — „oto zamierzam wraz z wszystkimi memi towarzyszkami i namiotami pod opieką waszych siedmiu królów udać się na pole bitwy i na pięknej, zielonej nizinie nad brzegiem Sekwany pod Paryżem rozłożyć się obozem. Jestem pewną, że rycerz ów, gdy tylko o tém się dowie, przybędzie do mnie a wówczas żołnierze moi będą go mogli potajemnie pojmać, zabić i głowę jego przynieść ci w darze!“ „Bardzo dobrze pomyślałaś“ — odrzekł zadowolony sułtan — „wszystko się też stanie według twęj propozycji!“

Poganie wyruszyli więc po raz wtóry w liczbie czterdziestu tysięcy pod mury Paryża i z przeraźliwym, dzikim krzykiem uderzyli do szturm. Ale i mieszkańcy miasta na ten napad byli przygotowani; z murów poczęli na nieprzyjaciół rzucać kamieniami i strzelać ostrymi strzałami z łuków. Nad brzegiem Sekwany stał rzeczywiście namiot Marcybelli, która bystrym wzrokiem badała, ażali Florensa wśród walki nie zobaczy. — Ten jednak nic o niej nie wiedział, uzbrajał

się bowiem właśnie z poспіechem, aby jeszcze w rychłym czasie na nieprzyjaciół natrzeć. W tém przybiegł doń zaufany i znajomy mu rycerz i rzekł: „Wiesz co Florensie? Oto piękna córka króla babilońskiego, która ci się tak bardzo spodobała, rozbiła swój namiot pod samém miastem nad brzegiem Sekwany!“ Florens tak się tą wiadomością ucieszył, iż ofiarował rycerzowi za to zupełnie nową zbroję. Gwałtowna miłość silniej niż zwyczajnie odezwała mu się w piersi. Nie mógł też prawie doczekać dnia następnego, a wstawszy równo z brzaskiem, przywdział na siebie najświetniejszą zbroję, to samo kazał swemu przybocznemu rycerzowi uczynić i wraz z nim wybrał się w drogę nad brzeg Sekwany. Zdaleka już zobaczył Marcybellę stojącą przed namiotem a i ona poznała go także po kawałku swój własnej sukni, który niegdyś jęj zabrał, a teraz zatknął sobie na hełmie. Z silnego wzruszenia pobladła tak nagle, iż otaczające ją dziewice, trwożliwe o jęj zdrowie, spytały ją o powód tego. Drżąc jak listek Marcybella wyznała im wszystko. „A więc zawezwij go tutaj do siebie!“ — zawołały jednozgodnie wszystkie jęj towarzyszki — „nie zdradzimy cię wcale, gotowe bowiem jesteśmy zo tve szczęście poświęcić nawet życie nasze! Jeżeli cię kocha jeszcze, to sam tutaj przybędzie, ale jeżeli niestety zapomniał już o swém uczuciu, to i łzy twoje nic nie pomogą!“

Długo namyślała się Marcybella, co ma uczynić, nakoniec jednak wysłała naprzeciw Florensowi jedną z swych towarzyszek, aby go o jej bliskości uprzedzić. Młodzieniec zaledwie z daleka wysłanniczkę swęj ukochanej zobaczył, nie mógł długo ustać spokojnie, lecz jak był w pancerzu i hełmie skoczył wraz z koniem w nurty Sekwany i walcząc z bałwanami wody, w krótcie stanął na przeciwnym brzegu, gdzie stały namioty dziewic królewskich. Marcybella przechadzająca się przed swym namiotem zaledwie tylko tak w pobliżu siebie zobaczyła swego kochanka, pozdrowiła go słodkim uśmiechem i rzekła dźwięcznie: „Dziękuję bogu naszego proroka, iż Was tu szczęśliwie do mnie przyprowadził! Ach, jak ciężkie trudy i niebezpieczeństwa życia musiałeś dla mnie ponieść szlachetny rycerzu, wszak dla mnie rzuciłeś się w odmęty Sekwany!“ „Ideale mych marzeń!“ — zawołał Florens — „to miłość ku tobie przeniosła mnie szczęśliwie przez te wodne bałwany! Gdy na twe cudne oblicze spoglądam, nic mi się złego stać nie może!“ „Kochany mój rycerzu!“ — rzekła Marcybella — „nie wiesz jak wielkie ponosiłam cierpienia, że miłości méj ku tobie zaspokoić nie mogę, jak pierś ma tajemném drżała pragnieniem, jak serce kołatało mi silnie! Ale teraz, gdy cię oglądam tak blisko przy sobie, nic mi już nie brakuje, jestem zupełnie zdrowa, już zapomniałam o wszystkiém co było!“ Tu ujęła

młodzienca za rękę i zaprowadziła za sobą do swego namiotu, gdzie zdjął niepotrzebnie ciężącą mu zbroję i hełm i usiadł obok swój uwielbionęj tuląc ją namiętnie do piersi. O, jakże szczęśliwą była ta chwila, gdy znaleźli się wreszcie sam na sam, nie krępowani żadnem uczuciem bojaźni, nie widząc żadnych przeszkód między sobą. Jakże niewysłowioną czuli rozkosz w tym namiętnym uścisku, w którym spoczęli prawie bezwiednie, idąc za popędem niepohamowanych pragnień oczu, ciała i zmysłów, w uścisku, który choć na chwilę zdawał się ich przenosić w świat inny, w świat lepszy, w świat czasu zachwytu i upojenia, który zasłonił ich oczy mgłą rozkoszy, nie dając spoglądać na nędze życia, które zostawili w dali za sobą, ani na niebezpieczeństwa, które ich w przyszłości czekać może miały! Florens tulił i przyciskał do siebie całą siłą fizyczną piękne i gładkie ciało oddającęj mu się Marcybelli, całował je i pieścił i znowu pieścił i całował, jak gdyby chwilę tę chciał przeciągnąć w nieskończoność! Ach, on gotów by był nawet umrzeć w tej słodkiej ekstazie, bo onęj godziny przeżył całą wieczność szczęścia, nasycił się do syta ciałem pięknej i kochającęj go kobiety, a więc tém, co najpiękniejszego natura człowiekowi dać może! O, święta, niebiańska chwilo, w której konwulsyjnym niemal spojrzeniem namiętności łączą się dwie kochające istoty, cóż może być nad ciebie

szczytniejszego!? Niech przed tobą cała ludzkość czołem uderzy, bo ty jesteś celem wielkich i maluczkich!

Łagodnymi swemi słowy zdołał Florens wreszcie przekonać i nakłonić Marcybellę do porzucenia fałszywej wiary mahometańskiej, a przyjęcia natomiast prawdziwej Chrystusowej religii, przyczem musiał jej obiecać, iż ją z obozu wykradnie. „Na to jednak“ — mówił — „nie mam innego środka, jak chyba ojca twojego schwytać jako więźnia, a wtedy i ty za nim udasz się do Paryża!“ „Szalone to przedsięwzięcie udać ci się nie może, kochany Florensie“ — odrzekła Marcybella — „ojca bowiem mojego nikt na ziemi ująć nie potrafi, póki posiada ulubionego swego konia „Pontifeks“ zwanego, a którego za skarby całego świata pewnie by nie oddał. Jest on tak silny, iż dwóch rycerzy na grzbiecie swym unieść w pełnej zbroi jest w stanie, i jeszcze biedz z nimi jak wiatr szybko potrafi; przez wodę pływa jak ryba, słowem równego mu pod słońcem nie znajdzie!“ Florensa poczęło ogarniać pragnienie posiadania tego konia, zapytał się więc Marcybelli, jakiej on jest maści, aby go mógł w danym razie między innymi poznać. „Jest całkiem białą“ — odpowiedziała królewna — „głowę nosi zawsze do góry jak lew, a tém szczególném się odznacza, że na czole ma ostry jak nóż, twardy róg, kogo nim uderzy zabije natychmiast!“

Już upłynęła godzina jak Florens wszedł do namiotu królewnej, czas więc już było ją pożegnać. Przy pożegnaniu rzekł jeszcze do niej: „Ach, kiedyż nadejdzie ta błoga chwila, gdy cię będą mógł uwieźć do Paryża?” Marcybella sama ułożyła plan wykradzenia i teraz przed rycerzem zwierzać się z niego zaczęła. „W krótcie spodziewam się” — rzekła — „iż ojciec mój wypowie królowi francuzkiemu wojnę. Wówczas to musisz dobrze mój kochany uważać, bo właśnie na nas przyjdzie stanowcza chwila działania. Gdy więc walka będzie już wrzała na dobre i zobaczysz mojego ojca także zacięcie walczącego, usuniesz się potajemnie, ażeby cię nikt nie zobaczył z placu bitwy i przyjdiesz do mnie. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Mój ojciec, aczkolwiek domyśla się już może jakiegoś między nami stósunku, przecież nie może jeszcze przypuścić, abyśmy się tak mocno pokochali, bo wtedy, wierz mi, gotów by był całą swą armią mnie otoczyć dla bezpieczeństwa! Przedewszystkiém jednak należy uważać, aby cię nikt, a tém mniej mój ojciec nie zobaczył. Poprzednio jeszcze t. j. przed bitwą postarać się musisz o statek, któryby u brzegu rzeki blisko mego namiotu zarzucił kotwicę; ja tam zaniosę wszystkie moje skarby i klejnoty, a gdy ty przybędziesz, wsiądziemy razem z całym mym dworem i popłyniemy do Paryża. Oto cały mój plan, czy podoba ci się?” „Wyborny, dosko-

nały!“ — zawołał Florens, uradowany tém roz-  
tropném postępowaniem swój narzeczonej — „pod  
każdym względem zastósuję się też do niego!“  
I uścisnął ją znów serdecznie, a usta ich spoczęły  
w długim, namiętym pocałunku. Poczém przy-  
wdział znów hełm i zbroję i poleciwszy Marcybellę  
opiece Wszechmocnego Boga, prędko wybiegł  
z namiotu. „Ach, kiedyż się znów z tobą zoba-  
czę, duszo mojego życia“ — zawołała za nim  
Marcybella — „serce moje jakieś niepewne, ale  
mam w Bogu waszym nadzieję, iż ci się nic złego  
nie stanie! Nikomu bowiem i nigdy się nie oddam,  
tylko jedynie tobie!“

---

Wyszedłszy z namiotu, rzucił się znowu  
Florens w rzekę jak poprzednio i przepłynął  
szczęśliwie na drugi brzeg, gdzie zastał oczeku-  
jącego go towarzysza. Natychmiast pospieszyli  
w dalszą drogę; ale zaledwie kilka ujechali kro-  
ków, ujrzeni naprzeciw siebie pędzącego Turka,  
który z wzniesioną dzidą i dzikim okrzykiem  
silnie uderzył na Florensa. Ten jednak dzielnie  
odparł natarcie, włócznią swą bowiem wyrzucił  
nieprzyjaciela z siodła z taką siłą na ziemię, iż  
na miejscu złamał nogę. „Prędko siadaj na jego  
koniu“ — zawołał na swego towarzysza — „jest  
on bowiem daleko silniejszy i szybszy od twego!“  
Rycerz uczynił, co mu polecono i znów ujechali  
nie wielki kawałek drogi, gdy nagle ujrzeni się

przez wypadłą z zasadzki czern pogan dokoła otoczeni. Starli się jednak z napastnikami bohatersko, niewierni bowiem padali jak snopy zboża. Towarzysz Florensa w walce téj położył trupem emira perskiego, co zobaczywszy pozostali Turcy, uciekli w największym popłochu. I tak pokonawszy grożące im niebezpieczeństwo, rycerze nasi szczęśliwie dotarli do Paryża. Król Dagobert uprzedzony o czynach Florensa, zawezwał go do siebie i tak się doń odezwał: „Jakżeż się ma, dzielny rycerzu, piękna Marcybella, bo zdaje mi się, iż wielką miłość ku niej musisz nosić w swém łonie, gdy cię nawet wody Sekwany powstrzymać nie zdołały? Chociażby dla saméj niéj, spodziewam się, iż niejednego jeszcze Turka nam ubijesz!“ „Tak mi Boże dopomóż“ — zawołał porywczo Florens — „cała bowiem moja nadzieja w niéj się znajduje!“ Powiedziawszy to, pożegnał ukłęknięciem króla i pospieszył do swego ojca Klemensa. Jako dobry syn opowiedział mu wszystko, co go spotkało i o miłości swéj ku Marcybelli nie przemilczał. Wyjawił mu również cały plan wykradzenia jéj i wreszcie opowiedział o owym pięknym koniu „Pontifeks“ zwanym, iż póki tenże w rękach sułtana znajdować się będzie, nikt go żywcem pojąć nie zdoła. Koń ten zainteresował mocno Klemensa, zapytał więc swego syna, aby mu go bliżej opisał. „Jest całkiem biały“ — odpowiedział Florens — „a na środku

czoła ma wystający róg, ostry jak nóż!“ „Na Boga! to trudna będzie z nim sprawa“ — zawołał Klemens — „a jednak spróbuję, czy mi się nie uda go uprowadzić!“ Florens uśmiechnął się na to i brał słowa starego z razu za żart, później jednak nie mało zdziwiony, musiał zdanie swoje odmienić. Klemens bowiem, namysliwszy się chwilę, kazał swój żonie podać sobie płaszcz i kapelusz pielgrzymi, w którym niegdyś był u Grobu świętego, przywdział oboje na siebie, a w rękę ujął grubą, podróżną laskę. Oprócz tego malował sobie twarz i ręce czarną farbą, a że posiadał już poprzednio czarną jak węgiel brodę, stał się zupełnie podobnym do poganina Turka. Zmieniony tak nie do poznania, postanowił iść do obozu tureckiego, żegnając więc żonę i Florensa, tak się do nich odezwał: „Nie powrócę wcześniej, dopóki nie posiędę drogocennego konia sułtana Pontifeksa!“ Wszyscy domownicy patrzyli na niego z podziwem i nie mogli pojąć, jak się staremu chce postępować tak lekkomyślnie, nikt bowiem nie spodziewał się, aby swój zamiar potrafił tak jak pragnie, doprowadzić do skutku.

Po niedługiej chwili dostał się Klemens do nieprzyjacielskiego obozu bez żadnych przeszkód, pozdrawiając po drórze wszystkich napotykanych pogan imieniem boga Mahometa; znał bowiem dobrze ich język, którego się podczas swych podróży nauczył. Nikt też nie podejrzewał go

o zdradę, wszyscy odpowiadali na pozdrowienie również uprzejmie, mieli bowiem Klemensa za pogańskiego pielgrzyma.

Tak doszedł aż do wzgórza Dampmartin, gdzie stał obóz sułtański. Przedtém ułożył już sobie dobrze, co ma mówić z sułtanem; wszedłszy tedy do jego namiotu, zdjął pokornie kapelusz z głowy i w te odezwał się słowa: „Bóg Mahometa, który dzień i noc stworzył, który każe rosnąć i barwne kwiaty daje drzewom i ziołom, oby Was błogosławił, wielki sułtanie Babilonu! Oto, aby Wasz wysoki Majestat zobaczyć, przybyłem z dalekiej méj ojczyzny aż do tego obozu, mając nie mało w dródze trudu do pokonania. Lecz spodziewam się, że podróż ma nie była daremną i zdam się na coś może memu panu i królowi!“ Sułtan podziękował Klemensowi za jego szczere i serdeczne słowa i zapytał się go: „Powiedz mi kochany pielgrzymie, co tam słysząc w mym kraju, czy mówią jeszcze o stratach, jakie od wojsk chrześcijańskich poniosłem, a mianowicie o śmierci króla olbrzymów? Ach, krzywdy te bolą mnie jeszcze i na proroka muszę je pomścić srogo! No pielgrzymie, co przynosisz nowego?“ „Najmiłościwszy Panie“ — rzekł na to schylając się Klemens — „gdym wychodził z naszego kraju, każdy modlił się za ciebie do boga Mahometa, aby pozwolił ci Francję pokonać i szczęśliwie do domu powrócić!“ „I rzeczywiście

tak się stać musi“ — zawołał sułtan — „bo nie myślę ztąd wprzód ustąpić, dopóki całej Francyi pod moją władzę nie zagarnę. Ale powiedz mi pielgrzymie, jakie jest twoje zajęcie?“ „Ja, panie i królu mój“ — odrzekł na to Klemens — „znam się przewybornie na koniach i pod tym względem jestem mistrzem! Gdy tylko wsiedę na podanego mi konia, choćby ten był jak najmniej oswojonym i najdzikszym, natychmiast poznam ile ma lat i jak długo jeszcze żyć będzie!“ „A to nadarzyłeś mi się w samą porę“ — zawołał sułtan uradowany — „jeżeli to prawda jest, co mówisz! Mam bowiem konia, którego nad wszystko lubię, a któremu równego nie masz na ziemi, chciałbym więc, byś mi go obejrzał i coś o nim powiedział!“ „Najchętniej uczynię, co mi rozkażesz, Miłościwy Panie“ — odpowiedział Klemens — „i gdy tylko na grzbiecie twego konia usiedę, natychmiast ci powiem o długości jego życia!“

Sułtan rozkazał więc przyprowadzić przed siebie swego ulubionego konia, co też w téj samej chwili uczyniono. Wszystkich oczy skierowały się na to prześliczne zwierzę ubrane jak najkosztowniej; na karku jego spoczywały dwa grube, srebrne łańcuchy, takież były popręgi, wykładane gładkim, czerwonym aksamitem i ozdobione gęsto drogiemi kamieniami. Klemens przestraszył się zrazu zobaczywszy tak dzikiego konia z ostrym rogiem na czole i zwątpił początko-

wo o udaniu się swego zamiaru. Westchnął jednak o pomoc do prawdziwego Boga i nowa wstąpiła weń otucha. „No, starcze“ — zawołał sułtan — „powiedz mi, co o rasie i zaletach tego konia a przedewszystkiém, jak ci się podoba?“ „Dopiero, gdy wsiedę nań będę cię mógł objaśnić!“ odpowiedział Klemens. Sułtan kazał mu więc podać ostrogi a konia należycie osiodłać, który w miarę, jak dłużej nań spoglądał, tém piękniejszym mu się wydawał i dla tego z dumą odezwał się do otaczających go panów: „Czy widzieliście kiedy w swém życiu tak piękne i wspaniałe zwierzę? Wszak warte jest, aby je ten stary oglądał!“ Klemens zrzucił tymczasem swój płaszcz i kapelusz na ziemię przed sułtanem i chciał wsiąść na konia z kijem w dłoni; ale ten widząc zbliżającego się do siebie obcego człowieka, obrócił się nieprzystępnie i tak silnie wierzgnął tylnymi nogami, iż stary padł na ziemię o dwa łokcie od rozniewanego zwierzęcia. Widząc to wszyscy obecni głośno śmiać się poczęli, sam nawet Klemens powstawszy z ziemi śmiał się wśród łez. Przybliżył się teraz śmieliej do konia, uderzył go kilka razy swym kijem a chwyciwszy go wreszcie silnie za uzdę, dopóty oprowadzał w koło, dopóki koń nie stał się łagodniejszym i oswoił się nieco z swym nowym panem. Jednym susem wskoczył nań teraz Klemens a gdy usadowił się dobrze, chwycił mocno

za cugle i uczuł nogi w strzemionach, zawołał głośno, drwiącym głosem do sułtana; „Potężny władzco Babilonu, masz mój kapelusz i płaszcz w zamian za konia — nie myślę ci go bowiem już oddawać, lecz jak najprostszą drogą jadę na nim do Paryża!”

Rzekłszy te słowa, wspiął Klemens konia ostrogami, ten też pomknął tak szybko jak ptak przez warstwy powietrza. Teraz dopiero poznał sułtan, jak haniebnie został oszukany; z boleści też i gniewu — upadł jak nieżywy na ziemię. Gdy wreszcie przyszedł znów do siebie, obiecał dać sto marek srebra nagrody temu, który zbiega doścignie i konia mu odbierze. Rzuciło się więc wielu do swych koni, ale daremnie! Zaledwie ich dosiedli, Klemens już ujechał spory kawałek drogi i dziękował w duchu Bogu, iż mu tak szczęśliwie uciec dozwolił. Pogoń jednak zbliżała się coraz bardziej, już widać było kurz wznoszący się na dródze — stary Klemens zmuszał więc ile możności Pontifeksa do szybszego biegu i niezawodnie byłby się już dostał do miasta, gdyby brama tegoż nie była zamkniętą. Poganie byli już tak blisko, iż Klemens słyszał już ich przekleństwa. Począł więc wołać rozpaczliwym głosem: „Ach, otwóźcie mi bramę, bo inaczej tutaj zginąć muszę! Mam najlepszego konia sułtana, pogoń mnie ściga!” Szczęściem znajdował się właśnie Florens na murach, który poznał głos

ojca i kazał mu natychmiast bramę otworzyć; uczyniono to też w sam czas, bo poganie już, już schwycić go mieli. Bramę za nim zatrzaśnięto i uratowany Klemens wjechał do miasta a stanąwszy przed Florensem, zsiadł z konia i rzekł: „Oto przyprowadzam ci w podarunku tego drogocennego konia sułtana mój synu! Podstępem zdołałem go uzyskać!“ Florens nadziwił się nie mógł przebiegłości ojca i podziękował mu z serca za tak cenny podarunek. Wskoczył zreźnie i szybko na pysznego wierzchowca i próbował na nim jazdy przed oczyma licznych widzów, między którymi wielu rycerzy się znajdowało. Wszyscy podziwiali pięknego konia, a nawet sam król Dagobert i cesarz Oktawian przybyli na miejsce, aby mu się przypatrzeć. Florens zauważył, że koń szczególnie Dagobertowi wpadł w oko, zsiadł z niego a chwyciwszy za uzdę przyprowadził go przed króla i ofiarował mu go w podarunku. Król podziękował za tak cenny dar i dał mu natomiast dwie posiadłości ziemskie z pięknymi zamkami w swym kraju a i Klemens otrzymał za swój trud hojne wynagrodzenie. W Paryżu wyprawiono wielkie gody i cieszą się wielce, podczas gdy sułtan przeciwnie wściekał się ze złości, domowych swych bożków porozbijał w uniesieniu w kawały i kazał całej armii uzbrajać się do trzeciego szturm na Paryż.

---

Znowu pogaństwo rozbiło obóz pod samemi murami miasta; namiotów ich było tak wiele, iż jeden przypierał niemal do drugiego. Najznaczniejszym był namiot samego sułtana, na którym umieszczony był złoty orzeł z zwróconym przeciwko Paryżowi dzióbem, jak gdyby na znak jego blizkiego upadku. Wszystkich niewiernych było przeszło dwanaście tysięcy, a wszyscy uzbrojeni w siekiery, piki i łuki. Ale i rycerstwu chrześcijańskiemu także nie zbywało na niczém; w téj chwili właśnie otworzyła się brama i prawie wszystek lud miasta wysypał się po za mury, aby walecznie natrzeć na najeźdzców. Na czele wszystkich jechał sam król francuzki, siedząc na pysznym Pontifeksie, dziś jego własności. Gdy to zobaczył sułtan, ze złości i gniewu omal nie upadł z konia na ziemię, prędko jednak spamietał się i włócznią swą tak silnie natarł na Dagoberta, iż zdawało się, że go przebije; Bóg jednak czuwał nad królem chrześcijańskim, bo cios ześlizgnął się tylko po jego pancerzu. Poprawiwszy się więc na siodle, uderzył sam tak dzielnie na sułtana, iż ten poznał zaraz, że z wyćwiczonym wojownikiem ma do czynienia. Ale nim przyszło do stanowczego pojedynku, własny koń sułtana swym ostrym rogiem zranił go tak mocno, iż krwią oblany spadł z konia na ziemię. Dagobert zamierzył się już, aby pokonanemu uciąć głowę, gdy pięćset pogan przybyło panu swemu na po-

moc i pomogli mu napowrót sięść na konia, mężnie odpierając cięcia Dagoberta. Teraz dopiero walka stała się ogólną.

Korzystając z ogólnego zamieszania Florens pomny na radę Marcybelli, wysunął się niepostrzeżenie z placu boju, gdzie dotąd walczył naj-mężniej ze wszystkich i pospieszył nad brzeg rzeki, gdzie czekał okręt na pogotowiu. Wsiadł więc węg i po kilku minutach żeglugi obejmował już w swych uściskach uwielbianą Marcybellę, całując ją namiętnie. Prędko przeniesiono do statku wszystkie skarby i klejnoty królowy a nakoniec wsiedli oboje narzeczeni i całe grono otaczających swą panią dziewic i statek znów popłynął ku Paryżowi. Przez całą drogę Florens i Marcybella siedząc około siebie, opowiadali sobie wzajemnie wszystkie swe przygody i wszystkie cierpienia, które przebyli, zanim zdołali się połączyć. Nie omieszkał też Florens pouczać i utwierdzać swęj narzeczonęj o nowęj, prawdziwęj wierze. Czas minął lotem błyskawicy, żeglarze sterowali tak szybko, iż ani nie spostrzegli się, kiedy stanęli w Paryżu. Tutaj zaprowadził uradowany kochanek piękną Marcybellę do domu ojca swego Klemensa i przydawszy jęj jeszcze do usług dwudziestu czterech szlachetnych młodzieńców, pożegnał ją i pospieszył coprędzję na plac kończącęj się bitwy. Marcybella zaś poleciła go opiece prawdziwego wszechmocnego Boga, od tęg

chwili bowiem o bogu Mahometa ani słyszeć nie chciała.

Florens spieszył więc teraz do walki z radosném sercem i spokojnym umysłem, jak ten, który posiadał już skarb dawno upragniony. Pierwszego napotkał jednego z królów, który siedział obok sułtana, gdy Florens odbywał swe poselstwo; uderzył więc nań swą dzidą tak silnie, że nieprzyjaciel zachwiawszy się na siodle, spadł z konia i złamał nogę w kolanie. Potém walcząc ciągle mężnie posuwał się Florens coraz dalej, aż dostał się w największy odmet walki i tu nagle przez nieprzyjaciół ze wszystkich stron został otoczony. W tém niebezpieczeństwie nadbiegł mu król Dagobert z skuteczną pomocą i wnet nacierających odparli. W innéj stronie na placu bitwy walczyli z sobą cesarz Oktawian i sułtan turecki. Siły ich były prawie równe, sułtana bowiem gnała wściekła rozpacz do boju. Słowy i czynem zachęcał on swoich do walki, którzy też z taką siłą ze wszech stron natarli na cesarza, iż konia pod nim zabili. Dzielny wojownik przecieź nie myślał się jeszcze poddać i mieczem swym srogo gromił przeciwników, ale siły jego słabły coraz bardziej a nieprzyjaciół była przeważająca liczba. Teraz począł już nawet wątpić w swe ocalenie; był bowiem ciężko poraniony a hełm i zbroję miał przedziurawioną w wielu miejscach, lud zaś jego znajdował się daleko od niego. Wtém Flo-

rens zobaczywszy cesarza w takiem niebezpieczeństwie, pospieszył doń i swemi własnymi pierściami i mieczem, począł go od ciosów zasłaniać. Ale wkrótce spotkał go ten sam los, co cesarza; koń jego został zabity a Florens upadł na ziemię; prędko podniósł się jednak i walczył pieszo jak zraniony lew.

Nie długo przecież mogła trwać tak nierówna walka. Poranieni i wysiłkiem walki zmęczeni obaj chrześcijańscy rycerze, cesarz i Florens, musieli wreszcie ulegnąć przemocy nieprzyjaciół. Zostali tedy pojmani i zaprowadzeni przed sułtana, który zgrzytając zębami ze złości, kazał ich dobrze powiązać i zaprowadzić do swego namiotu. Flerensa owładnął teraz wielki smutek; aczkolwiek w walce mało sobie cenił życie, przecież żał mu było je teraz porzucać, bo na drodze przyszłości oczekiwała go uwielbiana Marcybella. Cesarz Oktawian wzywał także w duchu Boga na pomoc, bo w ostatecznej chwili życia dla każdego śmiertelnika ma swój powab. Poganie tymczasem posłuszni sułtańskiemu rozkazowi, skrępowali swych więźniów tak silnie, iż powrozy głęboko w ciało się wrzynały i zawlekli ich do przeznaczonego na ten cel namiotu.

Dagobert daremnie szukał oczyma wśród walki swych dwóch przyjaciół Oktawiana i Florensa, nigdzie ich nie mógł zobaczyć. Walczył też dla tego tém zacięćiej, myśląc, że zginęli.

Trudna jednak była sprawa z nieprzyjacielem dziesięć razy liczniejszym; zwycięstwo też jawnie przechylało się na jego stronę. Dagobert w błyszczącej na skroniach koronie francuzkiej stojąc na czele garstki swych walecznych rycerzy zachęcał ich do męstwa własnym przykładem, wzywając w duchu pomocy Boga i św. Dyonizjusza. Ale szeregi chrześcijańskie bardzo się już przedzierać poczęły i niezawodnie wnet w zupełną poszłyby rozsypkę, gdyby Bóg w téj chwili cudownej nie udzielił im pomocy. Oto oczom pogan ukazało się w dali jakieś białe nieprzeliczone wojsko spuszczaające się od strony Montmartre do obozu chrześcijan, jakoby im na pomoc. Król Dagobert usłyszał zaś z nieba głos, zachęcający go do walki, albowiem biali rycerze upaść mu nie dozwolą. Zachęcony tém wezwaniem nabrał Dagobert ducha męstwa i jakby więcej w sobie uczuł siły, dzielnie uderzył na nieprzyjaciół, a za nim jego rycerstwo wzmocnione przysłanymi im na pomoc z nieba białymi hufcami wojowników. Obstąpiono też pogan ze wszystkich stron i zabito ich przeszło dwa tysiące. Sułtan rozgniewany targał się w złości za brodę i wołał: „Nieszczęśliwa godzina, w której pod Paryż przybyłem! Uciekajmy ztąd, albowiem ci biali rycerze wszystkich nas pozabijają!“ Pogaństwo też nie wiele myśląc poczęło uciekać w jak największym nieładzie a Francuzi puściwszy się za

nimi, tyle ich pozabijali, iż cała okolica na kilka mil w promieniu trupami ich była zasłona. Jeszcze podczas ucieczki doszła sułtana wiadomość, że córkę jego uwieziono do Paryża. Okrzyk bóleści i gniewu wyrwał się teraz z jego piersi a przybywszy do namiotu, złotemu swemu i drogimi kamieniami ozdobionemu bożkowi uciął mieczem głowę, poczem zapakował go do worka. Poganie nie mogli odgadnąć, czy czyni to z gniewu, czy też chcąc skarb ten przed goniącymi go chrześcijaninami ocalić. „Nie mamy co tutaj dłużej robić“ — zawołał na swoich — „uciekajmy więc coprędzej! Ale dwóch naszych więźniów strzeżcie dobrze, aby się cało do naszego kraju za morze dostali. Za żadne skarby świata bym ich teraz nie oddał, bo choć na nich muszę wyrzucić mą zemstę za poniesioną klęskę. Każę ich do dzikich koni poprzywiązywać i sam ich rozćwiartuję na kawałki!“ Oktawian i Florens dobrze sami wiedzieli, co ich czekało. Powiązani i skrępowani haniebnie musieli się stać ofiarą naigrawań otaczających ich Turków, którzy swych więźniów mieli aż do miejsca przeznaczenia przetranszportować. Dagobert zaś i wojsko jego ciężko opłakiwało stratę swych dwóch najdzielniejszych rycerzy — nikt bowiem nie wiedział, co się z nimi stało.



Ale opuśćmy na chwilę Florensa a powróćmy do jego brata, lwa i cesarzowej — matki. Sta-  
nęła ona jak już słyszeliśmy w gospodzie u pe-  
wnego szlachetnego obywatela w Jerozolimie.  
Ten zajął się troskliwie małym jój synkiem i wy-  
chował go starannie i prawdziwie po rycersku.  
Wszyscy ludzie lubili go nadzwyczajnie, był bo-  
wiem cnotliwy i rozsądny, fizycznie silny i pięknej  
postawy a matkę swą szczerze kochający i we  
wszystkiem był jój posłuszny.

Właśnie w tym czasie prowadził cesarz tu-  
recki wojnę z królem Akronu i z liczném woj-  
skiem przeciw niemu w pole wyruszył. Między  
liczném rycerstwem, które zagrożonemu turecką  
potęgą królowi spieszyło na pomoc, znalazł się  
i młody książę Leon. Spodobał się on od pier-  
wszego wejrzenia królowi bardzo, iż ofiarował  
mu piękny pancerz i całe bogate rycerskie uzbro-  
jenie w podarunku. Leon był chrześcijaninem,  
albowiem matka kazała go ochrzcić w Jerozo-  
limie i od imienia lwicy, która zawsze przy nich  
pozostawała, nadała mu imię Lwa czyli Leona.  
Lwica nie odstąpiła młodzieńca nawet, gdy się  
na pole bitwy udawał. Oba wojska przy pier-  
wszym natarciu zmierzyły się dzielnie. Leon  
walczył w pośród rycerzy królewskich mężnie a  
lwica pomagała mu; on zabijał mieczem, ona roz-  
szarpywała i dusiła nieprzyjaciół. Walka nie  
trwała długo; nieprzyjaciełe pobici umknęli w po-

płochu, cesarza tureckiego w ucieczce téj schwytano i później publicznie stracono. Po walce król Akronu, który widział bohaterskie czyny Leona, zawołał go przed siebie i zapytał się go o jego pochodzenie. Leon opowiedział mu to wszystko, co słyszał od swojej matki, którą też król kazał również do swego pałacu zawezwać, a gdy przed nim stanęła, tak się jęj zapytał: „Szlachetna pani! chciéj nam powiedzieć, jakiego jesteś pochodzenia?“ Na to odpowiedziała cesarzowa, iż małżonkiem jęj jest cesarz rzymski Oktawian, poczem opowiedziała wszystkie losy i prześladowanie. Król słuchając tego opowiadania, spoważniał i zesmutniał a w końcu rzekł: „Ach, jakżeś mogła, czcigodna niewiasto, tak długi czas przebywać w mym kraju, nie uprzedziwszy mnie o sobie! Byłbym nie pozwolił wam żyć w troskach o byt, ale gdy to minęło, dziś wam chcę lata niepokoju i boleści wynagrodzić i dalszy los uczynić spokojnym! Co mam, chętnie podzielę z wami.“ Cesarzowa podziękowała serdecznie za ofiarowaną jęj łaskę i wdała się w dłuższą rozmowę z królem, podczas której wszedł jęj syn Leon i tak przemówił: „Miłościwy panie i potężny królu! Przychodzę do ciebie z prośbą, abys zechciał mnie z swych usług uwolnić i pozwolił udać się do Francyi. Tam bowiem panuje potężny król Dagobert, który jest przyjacielem ojca mego cesarza Oktawiana —

spodziewam się tedy, że za jego pośrednictwem potrafię rozgniewanego ojca znów przejednać, iż powróci mnie i matkę moją do swój łaski, od której nas tak niewinnie odrzucił!“ „Stanie się zadość twój prośbie“ — odpowiedział król — „już dla samego tego, iż tak dzielnie popisałeś się w walce z moimi wrogami. Oprócz tego dodam ci dla bezpieczeństwa tysiąc dobrze uzbrojonych rycerzy i dostateczną sumę złota, w celu należytego utrzymania téj drużyny!“

Cesarzowa wraz z synem podziękowała powtórnie cesarzowi za jego dobrodziejstwo a dnia następnego niezwłocznie wybrała się w drogę. Po niedługim czasie dotarli do wybrzeża morskigo, przebyli je również pomyślnie i stanęli nakoniec w Lombardyi. Tu napotkali w dalszej swój podróży rycerza, którego Leon uprzejmie pozdrowiwszy, tymi zagadnął słowy: „Kochany przyjacielu, wybaczone ci się o jedną rzecz zapytam, albowiem z ubioru twego poznaję, iż musisz pochodzić z Francyi!“ „I rzeczywiście nie mylisz się“ — odpowiedział rycerz — „zaledwie przed czterema dniami byłem w Paryżu, przy samej osobie króla i ztamtąd właśnie powracam.“ Usłyszawszy to Leon, zapytał się natychmiast rycerza, czy król Dagobert bawi obecnie z swym dworem w Paryżu, jak mu się powodzi, czy zdrow jest i tym podobne rzeczy. Zagadnięty tak rycerz spojrzał na Leona zdumionym wzrokiem

i rzekł: „Cbyba żartujecie sobie ze mnie rycerzu, zadając mi takie pytanie? Cóż to, czy nie wiecie, że poganie wpadli do Francyi i prawie cały kraj ogniem i mieczem spustoszyli? Kilku książąt i królów pospieszyło wprowadzić Dagobertowi z pomocą, ale przecież nie mogli podołać przeważającój sile nieprzyjaciół, było ich bowiem przeszło dwieście tysięcy. Spodziewam się też, że nie od rzeczy będzie, gdy i ty, szlachetny rycerzu, pospieszysz z swą drużyną zagrożonemu Dagobertowi na pomoc, bo prawie wszyscy sprzymierzeńcy zwątpili już w zwycięztwo — a możesz być pewnym hojnej nagrody!“ Cesarzowa i Leon podziękowali rycerzowi za tę wiadomość, poczem Leon zwróciwszy się do swych wojowników, rzekł: „Bądźcie dobrej myśli — nadarza się nam bowiem dobra sposobność wstąpić w usługi króla francuzkiego!“ Matkę zaś pocieszył nadzieją, że w krótkim czasie wróci do Rzymu, gdzie dobrze życie prowadzić będzie szczęśliwie, jako cesarzowa swego ludu.

Zaledwie mały kawałek drógi ujechali, zauważyła cesarzowa z daleka wielki wznoszący się tuman kurzu, jak gdyby od kopyt końskich. „Może być, że to poganie się zbliżają“ — rzekła — „o których mówiliście, iż cały kraj zajęli. Przygotujcie się tedy do walki, bo ją wam może stoczyć przyjdzie!“ Rycerze przyjęli z podziękowaniem tę uwagę a ujechawszy nie wielką

odległość drogi naprzód, spotkali kilka tysięcy przeciw sobie pędzących Turków bądź to konno, bądź to pieszo. Były to niedobitki wielkiej armii, które z sułtanem na czele po owym niepomyślnym trzecim szturmie na Paryż uciekały ku granicom babilońskiego państwa. Poganie ci uprowadzali właśnie z sobą naszych nieszczęśliwych więźniów: cesarza Oktawiana i rycerza Florensa. Obaj mocno powrozami skrępowani i gnani ostrymi razami do drogi, nie narzekali jednak na swój los, lecz przeciwnie dziękowali myślą i słowy Bogu, że własnem życiem pozwolił im okupić zwycięstwo i że przecież barbarzyńcy pokonani zostali. Modlili się także za pomyślność króla Dagoberta, którego już więcej oglądać nie mieli. Zawiedziony zaś w swych oczekiwaniach sułtan przeklinał godzinę wyruszenia na Francją i opłakiwał stratę ukochanej swjej córki.

Leon z rycerzami swymi podjechał tak blisko, że łatwo mógł rozpoznać, co to był za naród; ze zmęczenia zaś wojska i smutnej twarzy sułtana (którego poznał po złotym dyademie na głowie) mógł wnioskować, że niedobitki te nie wracają po zwycięstwie, ale raczej uciekają przed pogonią. Dla tego odwróciwszy się do swego rycerstwa — zawołał: „Bądźcie odważni! Mamy zetrzeć się z poganami, którzy krew chrześcijańską rozlewać przyszli. Oto prowadzą z sobą dwóch znacznych jakichś jeńców, niezawodnie

książąt; tych dzielnie odbić im musimy!“ Rycerze okazali się gotowymi do walki i do pełnienia wszystkiego, co im rozkaże; lwica nawet jakby przeczuwając walkę, zaryczała przeraźliwie i pazury swe, grzebiąc ziemię — ostrzyć poczęła. To wlało jeszcze więcej otuchy i męztwa w naszych rycerzy, którzy też na dany im znak przez Leona z stósownie obranego miejsca rzucili się nagle na nieprzyjaciół, rąbiąc niemiłosiernie, co im się tylko nawinęło. Napad był tak zręczny i niespodziewany, iż Turcy w ogólném zamieszaniu, nim za broń pochwycić zdołali, najeźdźców już mieli na swych karkach. Lwica, która pana swego nigdzie i ani na chwilę nie odstępowała, nie próżnowała także; obalając i rozszarpując nieprzyjaciół, długą przed sobą robiła ulicę a w końcu raniona lekko przez jednego z nich, rzuciła się jak wściekła w sam środek wojsk tureckich i tu szarpiąc i rozrywając wszystkich, pochwyciła nawet sułtana i powaliła go na ziemię. Byłaby go pewnie tak jak i innych rozszarpała w kawałki, gdyby nie nadbiegł Leon i nie ocalił go od wściekłości zwierzęcia, poznawszy po kosztownym nbraniu, iż to musi być wódz lub sam sułtan turecki. Podniósł jednak nań miecz — jak gdyby mu zamierzał uciąć głowę, co zobaczywszy sułtan, sam złożył broń, jako więzień, błagał o łaskę, zobowiązał się zapłacić wielki haracz i co najważniejsza nawet wiarę mahometańską obiecał

porzucić. Zadowolony tém Leon darował mu życie, kazał go jednak dobrze związać i w takim stanie zaprowadzić przed cesarzową. Podczas tego dzielni rycerze z pomocą lwicy wybili resztę niewiernych co do nogi.

---

Tak skończyła się walka i wszyscy odpoczywali, ocierając pot z czoła i krew z mieczów. Wtedy Leon przystąpił do odbitych chrześcijańskich więźniów i zapytał się ich, kim są? „Szczerą prawdę powiem wam dzielny rycerzu“ — odpowiedział na to uradowany Oktawian — „ja jestem cesarzem rzymskim i nazywam się Oktawian, towarzysz zaś mój nazywa się Florens, a w walce był prawdziwym bohaterem. W ostatniej bitwie z poganami dostaliśmy się jako więźnie w ich ręce, teraz jednak szlachetny rycerzu, gdyś nas ocalił, tobie chcemy być podlegli. Czyń z nami, co chcesz, ale gdybyś nas chciał odesłać królowi francuzkiemu Dagobertowi, możesz być pewnym hojnej, na całe życie wystarczającej nagrody!“ Ze wzruszenia i tamowanej radości długi czas nie mógł Leon ani słowa przemówić, w mówiącym bowiem poznał swego własnego ojca, choć go jeszcze nigdy w życiu nie widział. Dla tego też podziękował w duchu Bogu, iż drógi ich w ten sposób do jednego miejsca sprowadził, a ochłonawszy nieco z wzruszenia, rzekł do cesarza: „Powiedz mi szczerze, kochany panie, czy

miałeś kiedy w swém życiu małżonkę?“ „Tak — miałem“ — odrzekł z ciężkiem westchnieniem Oktawian — „i z jój to przyczyny jestem dziś najnieszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Jestem poniekąd pewnym, że wszystkie dolegliwości i cierpienia, które do dziś dnia przeniosłem są skutkiem mego grzechu, są karą za złe i niegodne obejście się z moją szlachetną i cnotliwą małżonką!“ „A cóżeście jój takiego złego wyrządzili?“ badał dalej Leon, jak gdyby o niczem nie wiedział. „Ach!“ — odpowiedział cesarz — „długa to historia. Małżonka moja była to niewiasta łagodna, pobożna i łaskawa dla wszystkich — kochałem ją też bardzo. Ale przez podłe oszczerstwo i potwarz niewinnie rzuconą na nią — wygnałem ją wraz z dziećmi z kraju a tém skazałem na wielkie niezawodnie cierpienia i nędzę. Oszczerstwo to, smutno przychodzi mi wyznać — wyszło z ust mojej matki. Wmówiła ona bowiem we mnie, że dwaj synowie, których powiła mi żona, nie są moimi dziećmi i wymogła na mnie iż skazałem nieszczęśliwą niewiastę na śmierć przez spalenie wraz z dziećmi, od czego ją wreszcie z wielkim trudem ułaskawiłem. Ale, prawdę ciężko odpokutowałem tę winę i tysiąc-krotnie żałowałem tego porywczego kroku, bo od téj chwili nie miałem ani jednej godziny spokojnej!“ I tak opowiedział cesarz szczegółowo wszystko, co jego nieszczęśliwej małżonki doty-

czyło. Pod koniec opowiadania Leon zapytał się powtórnie cesarza o nazwisko jego towarzysza. „Rycerz ten nazywa się Florens, jak wam już powiedziałem“ — rzekł Oktawian — „ale doprawdy, że jeszcze za życia mego nie zdarzyło mi się napotkać tak podobnych do siebie i z postawy i z oblicza młodzieńców, jak wy jesteście. Rzecz dziwna, ale śmiało możnaby was wziąć za rodzonych braci!“

Leon ledwie mógł własne opanować wzruszenie. „Panie i cesarzu“ — rzekł drżącym głosem — „gdyby w tej chwili stanęła wam przed oczyma wasza małżonka, czy potrafilibyście ją poznać?“ „O, z pewnością! rysy jej ciągle stoją w myśli“ — zawołał cesarz — „ale jestem pewny, że już jej nigdy za życia nie zobaczę?“ Wtedy ujął Leon cesarza za rękę i obydwóch zaprowadził na miejsce, w którym przed bitwą ukrył był cesarzową. Ta, gdy zobaczyła zbliżających się, małżonka swego poznała już z daleka i łzy radości trysnęły z jej oczu. Gdy nareszcie wszyscy trzej stanęli przed nią, rzekł Leon do cesarza: „Spojrzyj panie, czy przypadkiem nie jest to ta niewiasta, którą niewinnie odpędziłeś od siebie przed laty i na wieczne skazałeś wygnanie?“

I Oktawian nie potrzebował długo spoglądać w oblicze swjej małżonki; poznał ją również w krótkie i wnet oboje wśród łez rzucili się so-

bie w objęcia i usta ich połączyły się w pocałunku, którym chcieli sobie tak długie rozłączenie wynagrodzić. Cesarz prosił w pokorze odnalezioną swą małżonkę o przebaczenie, wyznał jej, iż jego matka była przyczyną całego nieszczęścia i przyrzekł ją uroczyście za powrotem do Rzymu koroną cesarską ukoronować. Wreszcie zapytał się Oktawian, czy dzielny rycerz Leon, który go uratował z haniebną niewoli, jest jej synem? „Tak, jak tu wszyscy troje stoimy, wierzaj mi, jest on naszym prawym synem“ — rzekła cesarzowa. — „Ale z drugim, co się stało, nie wiem, straciłam go w lesie zupełnie bezwiednie i dziś smutek mi tylko po nim pozostał. Leona wracam ci, któremu Bóg dozwolił wyrość na tak dzielnego i prawego młodzieńca!“ Cesarz upadł tedy i Leonowi na szyję i ucałował go serdecznie, jako swego syna. Przez cały ten czas witania się ojca z odnalezionym synem, patrzyła cesarzowa z uwagą i zajęciem na Florensa i wreszcie zapytała się go: „Kochany, młody rycerzu, powiedz mi z kąd pochodzisz! Jesteś bowiem tak podobnym pod każdym względem do syna mego Leona, iż zdawałoby się, jak gdybyś był jego bratem!“ „Czcigodna pani“ — odpowiedział Florens — „gdzie się urodziłem, sam nie wiem, to mi tylko jest wiadomem, że mnie pewien zacny obywatel w Paryżu troskliwie i starannie wychował. Ten tedy mówił mi, iż kupił mnie na

wybrzeżu morskiem, podczas swój dalekiej podróży!“ Cesarzowej poczęło coś do serca przemawiać, iż Florens musi być jej drugim synem; krew silniej zakipiała w jej żyłach i rzekła żywo: „Ach, młody rycerzu! Zdaje mi się, że i ciebie przy własnem sercu nosiła, że ja jest twą matką a cesarz ojcem. O bodaj się moje domysły sprawdziły! dałby Bóg, aby tak było, jak mówisz, iż ów obywatel Paryża znalazł cię lub kupił za morzem! Aby się jednak prawdy dowiedzieć, udamy się razem do króla Dagoberta do Paryża!“

I tak całe towarzystwo przejęte radosnem uczuciem oczekiwania, wraz z otaczającym go rycerstwem, ruszyli ku Paryżowi. Wiadomość jednak o szczęśliwem odbiciu z niewoli tureckiej cesarza i rycerza, prędej jeszcze zaszła do Dagoberta. Dziękował też za ich ocalenie z uniesieniem Bogu, miał ich już bowiem za straconych. I Marcybella otrzymała list od swego kochanka i wiadomością tą przejęta, nie posiadała się z radości. W krótcie wszyscy dotarli szczęśliwie do Paryża, a sam król na czele doborowego rycerstwa wyjechał im naprzeciw. W orszaku tym znajdowała się Marcybella, która z okrzykiem radości rzuciła się Florensowi na szyję i ścisnąć i całować go poczęła, wołając: „Ach, mój najdroższy, czemuś mnie tak długo opuścił?“ Florens namiętnie odwzajemniał jej uściski, nic nie mówiąc.

I tak cały orszak, otoczony tłumami publiczności zwolna posuwał się ku miastu.

Tutaj wydał młody Leon królowi swego więźnia, sułtana, którego żadna przykrość nie czekała. Uwolniono go z więzów i jednego dnia został wraz z córką przez biskupa paryzkiego, w uczestnictwie wszystkich książąt i dostojników państwa ochrzczony, a Marcybellę nadto z ukochanym Florensem połączono węzłem małżeńskim. Szczęście ich odtąd już się nigdy kończyć nie miało. Sułtanowi wyznaczył oprócz tego cesarz francuzki osobną wielką posiadłość ziemską, a mieszkanie wyznaczył mu w własnym pałacu. Religia chrześcijańska uczyniła go pobożnym i łagodnym, a że odznaczał się nadzwyczaj bystrym i wysokim umysłem, zajął pierwsze miejsce w przybocznej radzie królewskiej.

Nacieszywszy się dosyć wyzwolonymi jeńcami, posłał Dagobert po starego Klemensa, aby się od niego prawdy dowiedzieć, sam bowiem, na szczególném podobieństwie rysów twarzy polegając, nie wątpił, że Leon i Florens są rodzonymi braćmi, a cesarz Oktawian ich ojcem. Uradowany odzyskaniem przybranego syna Klemens, stawił się natychmiast przed królem, który spojrzawszy mu poważnie w oczy, rzekł: „Klemensie! Mam z tobą coś ważnego do pomówienia. Powiedz mi szczerze, pod przysięgą, którą mi jako poddany złożyłeś, czy młodzieniec ten (rzekł wskazując na

Florensa) jest twoim rodzonym synem?“ Klemens przestraszył się tą surowością i powagą i opowiedział wszystko, najnniejszego nie pomijając szczegółu, jak chłopca kupił i przywiózł do Francyi. Usłyszawszy to opowiadanie cesarzowa, rzuciła się na szyję Florensa i poczęła obsypywać go pocałunkami, wołając: „Tak, nie omyliłam się! to jest mój syn, którego mi w lesie skradziono!“ Łzy radości zrosiły teraz i oczy Oktawiana, gdy odnalazł, tak cudownym zaiste sposobem straconą swą żonę i dzieci i wzniosł ku niebu ręce, zanosząc dziękczynienie Temu, który smutek w radość przemienić potrafi! „Nie weźmiesz mi przeto tego za złe bracie i królu“ — rzekł do Dagoberta — „gdy w krótcie cię porzucę i z żoną i dziećmi do Rzymu powrócę!“ Ale król francuzki prosił go bardzo, aby mu choć syna Florensa pozostawił, aby go mógł jakimi dobrami w swym kraju obdarzyć, na co wreszcie wzruszony Oktawian zezwolił. Pozostał jeszcze jednak dziesięć dni w Paryżu, podczas których wyprawiano na pamiątkę tak pomyślnego obrotu rzeczy, wspaniałe igrzyska, uczty i zabawy rycerskie. Jedenastego dopiero dnia opuścił cesarz miasto, a król francuzki, Florens i liczni książęta i rycerze towarzyszyli mu spory kawałek drógi. Rzymianie wspaniale przyjęli swego monarchę, który przybywszy do stolicy, kazał natychmiast ukoronować swą małżonkę. Gnotliwa ta i bogobojna

pani zapomniała teraz o wszystkiém, co kiedykolwiek przykrego przeniosła i dzieliła swe szczęście wraz z mężem.

Potém cesarz zapytał się o swą matkę, ale odebrał odpowiedź, iż ta podczas jego wyprawy do Francyi, umarła. Śmierć jój była prawie nie chrześcijańska; ogłuchła i dostała pomieszania zmysłów, a w przystępie szału, chciała pożreć wszystkich ją otaczających; musiano jój wreszcie łańcuch na ręce nałożyć i tak odpokutowała swe ciężkie winy moralném cierpieniem, dopóki w okropnych męczarniach ducha nie wyzionęła. Cesarz był po części zadowolonym, iż własnej matki karać nie potrzebuje, aby jednak o tych przykrych sprawach zapomnieć, zajął się czém inném. Pasował syna swego Leona na rycerza, przyczém wielkie dla ludu wyprawił zabawy i starał się gorliwie o polepszenie dobrobytu państwa.

---

W owym czasie zdarzyło się właśnie, iż król hiszpański wielkie ogłosił turnieje w swém mieście Walencyi, dokąd wezwał wszystkich męźnych rycerzy, chcących z równymi się sobie zmierzyć. Gdy młody i zapalony rycerz Leon dowiedział się o tém, postanowił koniecznie okazać swą siłę i zręczność na owym turnieju i w tym celu uzyskał od ojca pozwolenie udania się z dwustu dobrze uzbrojonymi rycerzami do

Walencyi. Przybywszy wreszcie do celu swęj podróży, ośm dni miał czasu wypocząć, zanim się wszyscy rycerze pojeżdżali. Wtedy kazał król hiszpański urządzić stósownie ogromny plac turniejowy i wywoływać publicznie, który z rycerzy chce walczyć o wieniec uwity własnemi rękami córki królewskiej Rozamundy, ten niech nazajutrz rano stawi się na placu.

Usłyszawszy to wyzwanie Leon, nie mógł się prawie brzasku dnia następnego doczekać; już wcześniej kazał sobie przynieść i przywdział na siebie wspaniałą zbroję, bogato złotem i drogami kamieniami wysadzaną. Na hełmie jako godło miał szczerozłotego lwa, trzymającego w pysku dziecię. Równy ze wschodem słońca wyjechał z towarzyszami swymi na plac igrzyska. Zastał tu już wielu walecznych rycerzy, żaden z nich jednak nie był tak dobrze, jak on uzbrojony, wszyscy przeto spoglądali nań wzrokiem zazdrości i podziwienia. Nadeszła wreszcie godzina rozpoczęcia walki; rycerze podzielili się na dwa obozy, towarzysze jednak Leona i nadal przy swoim panu pozostali. Strona naszego rycerza walczyła znacznie odważniej i zręczniejsze, sobie też zdawała zapewnić zwycięztwo; każdy prawie z rycerzy wytrącał przeciwników z siodła, a i sam Leon nie chybił ani razu, każde jego cięcie i pchnięcie powalało rycerza przeciwnego obozu na ziemię.

Córka królewska Rozamunda przypatrywała się téj walce z umyślnie na ten cel dla niéj urządzonego stanowiska. Widziała ona bohaterskie czyny Leona i dla tego wzbudziła się w niéj chęć dowiedzieć się, kto był tym walecznym rycerzem. Turniej nareszcie skończył się, a trwał pięć godzin i wszyscy rycerze biorący w nim udział rozeszli się, każdy do swego domu. Leon także, zdjawszy z siebie ciężką zbroję, udał się wprost do pałacu króla, który go przyjął nadzwyczaj uprzejmie. Nadeszła wreszcie godzina uczyty i wszyscy zasiedli do nakrytego stołu, dostojnicy państwa i rycerze. W tem weszła do sali piękna królewna Rozamunda, kosztownie i ozdobnie ubrana, w złotéj koronie na głowie, na której znajdował się mały wawrzynowy wieniec. Stała przed ojcem swoim, który obróciwszy się do całego zgromadzenia, rzekł: „Szlachetni panowie i rycerze! Oto córka moja przynosi wieniec, własnemi spleciony rękoma dla najwaleczniejszego z was. Zdaje mi się, że najlepiej na tę nagrodę zasłużył rycerz, noszący godło lwa na hełmie! Gdzież on jest, niech wystąpi!“ Leon ze zbyt uczynnej, a wrodzonej mu skromności, choć wiedział, że do niego są te słowa zwrócone, stał milcząc na uboczu między innymi rycerzami. Dopiero gdy król po raz wtóry zapytał o najwaleczniejszego rycerza, jeden z jego towarzyszków wystąpił napród i wskazując na Leona, rzekł: „Oto jest

rycerz, o którego pytacie!“ Musiał więc Leon stanąć przed królem i córką jego, która zdjawszy wieniec z własnej głowy, ozdobiła nim skronie młodzieńca, mówiąc: „Ku chwale własnej możesz nosić ten wieniec, szlachetny rycerzu, boś go sobie dzielnie wywalczył!“ Leon podziękował jęj głębokiem skinieniem głowy, poczem usunął się znów między rycerzy. Gdy się uczta rozpoczęła, posadzono go obok Rozamundy. Wdał się też z nią w rozmowę, która na tak błogi przyszła temat i tak ich bardzo zajęła, iż zapomnieli nawet o jedzeniu. Rozprawiali ciągle żywo, a podczas téj słodkiej rozmowy, zakiełkowała w ich sercach szczytna miłość wzajemna ku sobie i gwałtownie rosnąć poczęła. Usta ich mimowoli zamilkły, a trzymając się za ręce, rozmawiali tylko westchnieniami, podnoszącymi tęsknotą ich piersi i oczami, rzucającymi ku sobie namiętne spojrzenia. Stary król widział dobrze to wszystko i dla tego koniecznie starał się dowiedzieć, kto jest tym rycerzem; a gdy mu powiedziano, że to jest syn cesarza rzymskiego Oktawiana, zdziwił się i uradował nie mało. Zaraz też po uczcie zawezwał córkę swą i Leona do własnej komnaty i tak się do zdziwionego rycerza odezwał: „Drogi przyjacielu, zauważyłem dobrze, iż ty i córka moja uczuliście wzajemną miłość ku sobie; jeżeli więc chcesz, gotów ci jestem oddać ją za żonę!“ Leon nie mógł znaleźć dość wyrazów na wy-

powiedzenie swój podzięk, zawołał tylko z radością: „Miłościwy Panie i królu, gotów jestem uczynić zadość twój woli nawet w téj chwili!“ Król zdjawszy wtedy pierścień z palca, zaręczył Leona z Rozamundą. W kilka dni później odbyło się wspaniałe wesele i uroczystość rycerska, po której Leon odjechał z swą młodą małżonką do Rzymu, gdzie go ojciec i cały lud rzymski przyjmował uroczyście.

Florens służył już trzy lata na dworze króla francuzkiego. W czwartym roku przybyli do Dagoberta reprezentanci królestwa angielskiego, prosząc go, aby im zechciał wybrać godnego króla, ich bowiem monarcha umarł bezdzietnie. Na to odpowiedział Dagobert: „Nikogo godniejszego i zasłużeńszego na ziemi polecić wam nie mogę jak księcia Florensa, jednego z synów cesarza Oktawiana; jest on rozumnym i mężnym, czego niejednokrotne złożył dowody i gdyby nie on, kraj mój pewnie byłiby barbarzyńcy pod swe zagarnęli panowanie!“ Książęta i wysłannicy angielscy przyjęli również z radością tę propozycję, słyszeli już bowiem wiele o cnotach i waleczności Florensa. Udano się zatem niezwłocznie do naszego rycerza, który ofiarowane mu królestwo przyjął również ochotnie i w krótkce został wśród wielkich uroczystości i tryumfu zebranego ludu w St. Denis przez Dagoberta na króla angielskiego ukoronowany.

Wyjeżdżając do Anglii, zabrał Florens ze sobą przybranego ojca Klemensa, jego żonę i syna Klaudyusza. Podróż trwała dość długo przez Brabancyą aż do wybrzeża morskiego, a następnie morzem aż do stolicy królestwa Londynu. Lud angielski przyjął tutaj z nie-małą wystawnością nowego króla, jego małżonkę Marcybellę i towarzyszącego im Dagoberta. Następnie przeczytano Florensowi prawa angielskiego narodu, przez jego poprzedników potwierdzone, na których zachowanie złożył uroczystą przysięgę.

Dagobert pozostał jeszcze kilka dni w Londynie, poczem pożegnawszy i pobłogosławiwszy nowego króla, powrócił do Paryża. Florensa wspierał Bóg we wszystkich dolegliwościach i nieszczęściach, panował też ludowi swemu długie lata mądrze i sprawiedliwie, ciesząc się miłością i przychylnością poddanych. Ukochana i piękna małżonka jego Marcybella powiła mu po niejakiem czasie ślicznego syna, któremu dano imię „Wilhelm.“ Rósł on zdrowo i gruntował się w cnotach chrześcijańskich i prawości rycerskiej, wszyscy też kochali i szanowali go bardzo. Florens i Marcybella doczekali się bardzo późnego wieku a gdy syci szczęścia i sławy zeszedli z tego świata, Wilhelm został obrany królem angielskim. I on, idąc za przykładem swego ojca zachowywał prawa narodu, bronił pokrzywdzonych a karał

winnych, przez co zyskał sobie również miłość i poważanie ogólne.

\*

\*

\*

Na tém kończy się nasza powieść o cesarzu Oktawianie i jego dwóch synach.

K O N I E C.



---

Drukiem Karola Miarki w Mikołowie (Neolai O. S.)

---

## **Tomiki w okładce**

**z przepysznym kolorowanym obrazkiem.**

- Tom  
200. **Śnieżny grób w Sierra, czyli zagłodzenie w srebrnej minie.**  
201. **Porwane dziecko.** Opowiadanie z Turcyi.  
202. **Kama Samojedka.** Opowiadanie historyczne.  
203. **Jeniec Szykitów.** Powieść z życia indyańskiego.  
204. **Mareipotama, córka Pampasów.** Opowiadanie z kraju Indyan.  
205. **Wielkie skarby złota w Sierra Newada.**  
206. **Na granicy kraju Indyan, czyli bezpieczna ręka.** Powieść Meksykańska.  
207. **Koloniści u źródeł rzeki Susquehannah.**  
208. **Harold król cyganów, czyli skrzypce Edelenńskie.** Opowiadanie z Węgier.  
209. **Skalpierce Południowej Ameryki, czyli na wyspach rzeki Uruguay.** Opowiadanie z kraju Indyan.  
210. **Bogufał młody pustelnik.**  
211. **Dobromił, czyli cudowne są drogi Pańskie.**  
212. **Pomiedzy ludożercami w Sumatrze.**  
213. **Dziwne podróże na lądzie i na morzu.**

---

**Tomiki po 6 i 12 ct. czyli 10 i 20 fenigów.**

305. **Ksiądz Placydy.** 12 ct.  
306. **Krzyż drewniany.** 12 ct.  
307. **Pielgrzymka przez Ziemię św. (8 obraz.)** 12 ct.  
308. **Ahaswerus, żyd wieczny.** 12 ct.  
309. **Korsarz czyli upiór morski.** 6 ct.  
310. **Na krach czyli rybak odważny.** 6 ct.  
311. **Podrzutek albo nagroda wierności.** 6 ct.  
312. **Anioł pokoju.** 6 ct.

---

## **„Książeczki Ludowe“**

**w okładkach z przepysznymi kolorowanymi rycinami.**

500. **Dokładna rozmowa kwiatami, poświęcona miłości i przyjaźni.** Cena 20 ct. czyli 35 fenigów.

Tom

501. **Niezapominajki.** Wybór najlepszych wierszy do Imionnika. Cena 20 ct. czyli 35 fenigów.
502. **Zbiór dobranych powinszowań wierszem i prozą** dla dzieci i dorosłych, na wszelkie przygody i sposobności życia ułożone. Cena 35 ct. czyli 60 fenigów.
503. **Książeczka o dobrych zwyczajach towarzyskich.** Cena 40 ct. czyli 70 fenigów.
504. **Zwyczajna kuchnia domowa,** obejmująca przepisy potraw kucharskich. Cena 40 ct. czyli 70 fenigów.
505. **Najnowszy i najdokładniejszy Sekretarz zakonanych i narzeczonych.** Z dodatkiem: Pieśni miłosne, wiersze do imionnika itd. Cena 60 ct. czyli 1 markę.
506. **Czarnoksiężnik Bosko,** czyli najbogatszy zbiór najciekawszych sztuk magicznych i kuglarskich do wykonywania łatwo i tanim kosztem. Z ilustrac. Cena 20 ct. czyli 35 fen.
507. **Toast polski wierszem i prozą,** czyli zbiór mów przy uroczystościach wszelkiego rodzaju, jako to: przy weselach, ważniejszych zebraniach, przy obchodach jubileuszowych itd. Cena 60 ct. czyli 1 mrk., w eleganckiej oprawie, w płótnie połączanym 1 złr. 10 ct. czyli 1 mk. 80 fen.
- 508 i 509. **Polski śpiewnik,** czyli zbiór 486 nowych arii i dumek narodowych, krakowiaków, kujawiaków, pieśni weselnych, miłosnych, patryotycznych, historycznych itd. 2 tomy. Cena każdego tomu oprawn. 50 ct. czyli 90 fen., w eleg. oprawie w płótnie połączanym 85 ct. czyli 1,50 mk.

### „Śmiech.“ Zebrał Nie-głupi.

W trzech częściach:

510. **Część I. Zbiór fraszek, anegdot i humorystycznych opowiadań.** Cena oprawn. 60 ct. czyli 1 mk.
511. **Część II. Anegdoty historyczne i z życia znakomitych ludzi.** Cena oprawn. 60 centów czyli 1 mk.
512. **Część III. Anegdoty, fraszki, zdania, myśli moralne i opowiadania celniejszych humorystów polskich i obcych.** Cena oprawn. 60 ct. czyli 1 markę.

### **Książki obrazkowe, zajęcia dla dzieci i dorosłych.**

ABCadnik i pokoik mały z 4 tabl. obrazk. i 8 stron tekstu m. 8<sup>o</sup>. 8 ct. : 15 fen.

ABCadnik nowy z obrazk. i wiersz. m. 8<sup>o</sup>. 12 ct. : 20 fen.

Ach! co za prześliczna książeczka obrazkowa z wierszykami i tekstem m. 8<sup>o</sup>. 18 ct. : 30 fen.

Bajek 10, każda ozdobiona 6 wspaniałymi obrazkami i tekst. 4<sup>o</sup> każda po 60 ct. : 1 mk.

1. Mądry kot. 2. Kópciuszek. 3. Białosnieżka. 4. Głupi Janek. 5. Śpiąca królewna. 6. Czerwona czapeczka. 7. Tomcio pалuch. 8. Chytry lis. 9. O Janku i Małgosi. 10. Przygody zwierząt.

Baśń o karzełkach i pięknym lutniście, z 6 obrazkami i tekstem w. 4°. 60 ct. : 1 mk.

Brr! Znów inny obrazek. Piękna obrazk. książka ze zmieniającymi się obrazk. i tekst. m. 4°. 85 ct. : 1,50 mk.

Dla grzecznych dzieci. Książeczka obrazk. z wierszyk. i tekst. m. 8°. 16 ct. : 28 fen.

Elementarz z obrazk. i tekst. m. 8°. 24 ct. : 40 fen.

Fryc, chytry lis. Bajka z 6 obrazkami i tekst. w. 4°. 45 ct. : 75 fen.

Książeczek 7, różnych, z bajkami, każda z 6 obrazk. i tekstem, m. 8°. 8 ct. : 15 fen.

Książeczka czarodziejska z wspan. obrazk. łudzącymi i tekst. I. i II. w. 4°. opr. każda 75 ct. : 1 m. 25 f.

Książeczki powiastkowe, 12, z obrazk., każda z 6 obrazk. w kolor. druku 32° każda po 4 ct. : 8 fen.

1. Matka i syn. 2. Lekkomysłni przyjaciele. 3. Ciekawość ukarana. 4. Robert i Ita. 5. Biedna rodzina. 6. Dzieci wśród lasu. 7. Dwaj sąsiedzi. 8. Nie wódź nas na pokuszenie. 9. Biedny Krzysztofek. 10. Burza na morzu. 11. Bozka opatrność. 12. Iwan Niedolega.

Książek 6, nowych, z obrazk., każda składająca się z 6 przepysznych obrazków, z wierszykami, w. 4°. oprawna każda 65 ct. : 1 mk. 25 fen.

1. Złote czasy. 2. Wiosna. 3. W górach i dolinach. 4. Dobrzy przyjaciele. 5. Świat dzieci. 6. Nasi domownicy.

Obrazki dla grzecznych i miłych dzieci, z 6 pięknymi obrazk. z tekst. w. 4°. 85 ct. : 1 m. 50 f.

Przygody zwierząt, z 6 obrazk. i tekst. w. 4°. 45 ct. : 75 f.

Radość dziecięca w obrazk. z wierszyk. m. 8°. 14 ct. : 25 f.

Rozrywki dla grzecznych i miłych dzieci. z 6 piękn. obrazk. i tekst. w. 4°. 85 ct. : 1 mk. 25 fen.

Świat baśni. Wielka wspaniała książka z 6 bajkami i 36 bardzo pięk. obrazk. 24 str. tekstu, w. 4°. w gustown. trwałej opr. 2 złr. 80 ct. : 4 mk. 50 fen.

— Wydanie z 12 obrazk. i 24 str. tekstu, w. 4°. w gustownej trwałej oprawie 1 złr. 80 ct. : 3,50 mk.

Świątek dziecięcy w obrazach i z tekst., sztywne karty m. 8°. siln. opr. 15 ct. : 25 fen.

Towarzysze zabawy, z 12 obrazk. i 44 str. tekst. 8°. opr. 85 ct. : 1 mk. 50 fen.

Uciecha małych dzieci w obrazkach bez tekst. m. 8°. 15 ct. : 25 fen.

Uciecha wielka dla małych dzieci 4°. W 3 wyd.:

1) z 8 tabl. obrazk. i wierszyk. 36 ct. : 60 fen.;

2) z 16 tabl. obrazk. i wierszyk. opr. 60 ct. : 1 mk.;

3) z 16 tablic. obrazk. i wierszyk. (książka do niedorozdarcia) opr. 90 ct. : 1 mk. 50 fen.

W eyrku, z 6 tabl. obrazk. bez tekstu w. 4°. 60 ct. : 1 mk.  
Zabawa w obrazach bez tekstu m. 8°. 10 ct. : 20 fen.  
Zwierzęta różne z tekst. m. 8°. 15 ct. : 25 fen.  
Zwierzyniec dla grzecznych dzieci z tablic. obrazkami  
z wierszykami 4°. 50 ct. : 90 fen.  
Z życia dzieci, 6 tablic. obrazk. wiersz. w. 4°. 60 ct. : 1 mk.  
Książka z obrazk. niedorozdarcia o 12 str., z obraz. i wiers-  
zyk., na kartonie naklejone. w. 4°. 2 złr. : 3,50 mk.

---

Artysta mały. 48 wzorów rysunkowych dla dzieci w.  
8°. w gustown. okł. 65 ct. : 1 mk.  
Loteryjka domowa, z 12 tabl., 90 kul numerow. i szkłem  
krajanem w gustown. pudełku 85 ct. : 1 mk. 50 fen.  
— — Wydanie elegancko-salonowe. 1,50 złr. : 2,50 m.  
Siedm rozmaitych gier, dziecinnych i towarzyskich, w eleg-  
ganckiej okładce 75 ct. : 1 mk. 40 fen.  
Młotek i dzwonek. Gra nadzwyczaj zajmująca w eleg.  
pudełku drewn. z kostkami i objaśnieniem; stoso-  
wnie do wykończenia w 3 różnych wydaniach po  
35 ct : 60 f., 45 ct. : 75 fen., 65 ct. : 1 mk.  
Szkoła malarstwa mała. Książk. z kolor. i czarn. obr.  
Kolor. jako wzór, czarne jako tło do malow. 4 num.:  
1) Nm. 123 m. 8°. 6 ct. : 10 fen., 2) Nm. 322 m.  
8°. 8 ct. : 15 fen., 3) Nm. 550 4°. 16 ct. : 28 fen.,  
4) Nm. 552. w. 4°. 42 ct. : 70 fen.  
Tabliczka łupkowa pierwsza. Książeczka z papieru łup-  
kow. z wzorami do rysow., m. 8°. 40 ct. : 70 fen.  
— — Z większą liczbą tablic i gustowniejsze wyda-  
nie. m. 4°. 60 ct. : 1 mk.  
Wzory do rysowania. Nowe, na tabliczce. Zawieraj.  
6 tablic z rysunk. na obu stron. w. 4°. 75 ct. : 1,25 m.  
Zbiór nowych 6 gier dziecinnych i towarzyskich, m. fol.  
w eleg. okładce 75 ct. : 1 mk. 25 fen.  
— — Tylko gry pojedyncze naklejone na tekturze.  
1 złr. 15 ct. : 2 mk.

---

Najnowsza i nader zajmująca gra towarzyska  
dla dzieci dorosłych p. n.:

### „Wojna europejska“

między Austryą, Francją, Niemcami i Rosyą.  
Cena sztuki w eleganckiem pudełku 1 złr. 38 ct.  
czyli 2 marki 25 fenigów.

**Siedm zupełnie nowych, pięknych i dobrych  
książek z obrazkami:**

**1. Książeczka z obrazkami** dla grzecznych dzie-  
tek, obejmuje 16 stronic  
obrazków kolorowych z wierszykami i powiastkami, oraz naukę  
polskiego pisania i czytania. Cena 20 ct. : 30 fenigów.

**2. Zabawa w obrazkach** dla grzecznych dzieci,  
tej samej objętości co pier-  
wsza, lecz z innymi obrazkami i wierszykami, także z nauką pol-  
skiego pisania i czytania. Cena 20 ct. : 30 fenigów.

**3. Świat dziecięcy** w obrazkach i powiastkach, z  
powiastkami, wierszykami i zagad-  
kami, wraz z krótką nauką polskiego pisania i czytania w formacie  
wielkim (4-to), obejmuje 8 stronic kolorowych obrazków, 16 stron-  
ic tekstu z ślicznie wykonaną okładką kolorową. Cena oprawnego  
egzemplarza 78 ct. : 1 mk. 25 fen.

**4. Nauka w obrazkach** format wielki (4<sup>o</sup>) 8  
str. obrazków kolorowych,  
16 stronic powiastek itd., wraz z nauką  
polskiego pisania i czytania  
z ślicznie wykonaną okładką kolorową. Cena oprawnego egzempla-  
rza 78 ct. : 1 mk. 25 fenigów.

**5. Słuchaj rodziców i starszych.** książeczka  
z obrazkami  
o niegrzecznych dzieciach, obejmuje 16 stronic obrazków ko-  
lorowych i do nich stósujących się powiastek i przykładów, z dodat-  
kiem elementarza, 16 str. powiastek, z ślicznie wykon. okładką ko-  
lorow. — format 4-to. Cena opr. egzempl. 65 ct. : 1 mk.

**6. Skarbiec zabaw i uciech** powiastki i wier-  
szyki dla grze-  
cznych dzieci, obejmuje na 20 str. 50 obrazk. kolor. z stósownymi  
wierszami, w dodatku elementarz i 16 str. powiastek i baśni z śliczną  
okładką kolor. — format (4-to). Cena opr. egz. 1 złr. = 1 mk. 50 fen.

**7. Poczciwy Antos,** książka dla dzieci, które chcą  
być grzeczniemi, obejmuje 48  
stronic druku i 24 obrazków — w formacie małym oprawa trwała  
— grzbiet płócienny. Cena 20 ct. : 30 fenigów.

Kto prześle 3 złr. 60 ct. lub 6 mk. otrzyma wszystkie 7 książeczek  
franko. — Należytość można i w znaczkach pocztowych przesłać.

**Odezwa do rodziców i przyjaciół dzieci.**

Zamieszczony spis świeżo wyszłych dziełek jest nowym dowo-  
dem, że staraniem mojem jest szerzenie oświaty, a z nią moralności.  
Książeczki te są przeznaczone dla dzieci, zaopatrzone w obrazki  
i liczne powiastki, zdania moralne, zagadki i śpiewki. Aby dzieci  
mogły sobie przeczytać treść tych książeczek, dodany jest do każdej  
książki mały, bardzo praktyczny elementarzyk polskiego pisania  
i czytania. Mam nadzieję, że tém mojem wydawnictwem przysłużę  
się rodzicom i przyjaciółom dzieci. Elementarzyk bowiem wystarczy  
do nauczania się czytania i pisania w polskim języku.

Szanownej Publiczności polecam więc moje dziełka i dla łat-  
wiejszego nabycia stawiam nader niską cenę. Podjąłem się zaś te-  
go wydawnictwa, ponieważ książeczki takie są nader pożyteczne, a  
w polskim języku brak ich jest wielki.

Nakładca **Edward Feitzinger** w Cieszynie (Śląsk austr.)

# Spis książek nakładowych i komisowych, księgarni Edwarda Feitzingera w Cieszynie (wyższa brama.)

## I. Różne dzieła.

- Chociszewski Józef, Podręcznik do pisania listów, w którym wyłożona jasno i treściwie nauka o pisaniu listów, oraz podane liczne wzory tychże, jako też kwity, rewersy, rachunki, przepisy pocztowe, wpisy do imionników itd., z dodatkiem listownika dla dzieci. 1888. (194 str.) 8°. 65 ct. : 1 M.  
w opr. płóc. 1 złr. : 1 mk. 75 fen.
- Pokłosie. Zbiór pouczających i ciekawych opowiadań, powieści, wierszy itd. jak np.: Lampa czarodziejska; wspomnienie o Krakusie, Wandzie i Piaście; życiorys Dezyderego Chłapowskiego itd. Z 12 obrazk. 1888. (215 str.) 24°. 35 ct. : 50 fen.
- Przepowiadacz pogody i niepogody. 1885. (32 str.) 24°. 12 ct. : 20 fen.
- Skarbczyk poezyi polskiej. 1883. (256 str.) 24°. 48 ct. : 75 fen.
- Śpiący biały orzeł, czyli proroctwo starego pustelnika z gór karpackich. Dodane inne ważne proroctwa o naszej kochanej Ojczyźnie Polsce a mianowicie trzy przepowiednie Ojca świętego. 1889. (54 str.) 8°. 20 ct. : 35 fen.
- Cinciała, Dr. Andrzej. Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna. 1885. (133 strony.) duż 8°. 2 złr. 50 ct. : 4 mk. 50 fen.
- Podręcznik dla gmin śląskich. Tom I. 1889. (327 stron.) 8°. 2 złr. 50 ct. : 4 mk. 50 fen.
- Przysłowia, przypowieści i ciekawsze zwroty języka ludu polskiego na Ślązku w Księstwie Cieszyńskim. 1885. (48 str.) 8°. 40 ct. : 70 fen.
- Hejromaneya egipska, czyli sztuka przepowiadania z linii na ręce. Zupełnie pewna wskazówka do odgadnięcia przyszłości. 1886. (18 str.) m. 8°. 20 ct. : 35 fen.
- Hermana Fr. Ogólna dedaktyka i pedagogika, przewodnik do skutecznego sprawowania urzędu nauczycielskiego przy szkołach ludowych wszelkiej ka-

tegorii, opracowany, uzupełniony i niezmiennie scho-  
liami ozdobiony przez Izzydora Poechego, kiero-  
wnika szkoły w Dąbrowie. — Doskonałość orygi-  
nału uznana jest przez Nauczycielstwo od wielu lat,  
a opracowanie w ojczystym języku umiejętne i su-  
miennie dokonane. 1882. (200 stron.) 8<sup>o</sup>.

1 złr. 38 ct. : 2 mk. 40 fen.

Historia o cudownej odmianie księżnej i szewcowej. 1886.  
(8 str.) m. 8<sup>o</sup>. 6 ct. : 10 fen.

Janicki X. Cudowne nawrócenie dwóch wielkich pija-  
ków. 1885. (16 str.) 24<sup>o</sup>. 10 ct. : 15 fen.

Kabała moralna, czyli mądrość Salomona. Tajemnice  
przyszłości. 1886. (16 str.) m. 8<sup>o</sup>. 10 ct. : 15 fen.

Kancynał mniejszy, wydany przez ks. Jana Żmijkę.  
Wyd. VIII. stereotypowe. 1888. (560 str.) 8<sup>o</sup>.  
opr. 1,50 złr. : 2,75 mk. do 4,50 złr. : 8 mk.

Kancynał wielki śp. ks. Ant. Janusza. Nowe wyd. V.  
pomnoż. i poprawne. 1890. (1256 stron.) 8<sup>o</sup>. opr.  
od 2,50 złr. : 4,50 mk. do 5 złr. : 8,50 mk.

Dodatek do tegoż, obejmujący różne nowe pieśni.  
1877. (16 str.) 8<sup>o</sup>. 5 ct. : 10 fen.

Kancynałek, czyli śpiewnik kościelny i książka do mo-  
dlenia dla młodzieży. Wyd. II. 1888. (383 str.) 24<sup>o</sup>.  
opr. od 65 ct. : 1 mk. do 1 złr. 50 ct. : 2 m. 75 f.

Michejda ks. K. O pijaństwie 10 ct. : 20 fen.

Nabożeństwo do św. Alojzego. 1880. (48 str.) 8<sup>o</sup>.  
15 ct. : 25. fen.

Proroctwo Michaldy królowej ze Saby. 13 Sybilij. 1888.  
(48 str.) 8<sup>o</sup>. 20 ct. : 35 fen.

Radońska Teresa. Dwie powiastki. (1. Szpilka  
Miss Nelly. Nowella. 2. Powieść o minionem  
szczęściu.) 1881. (106 str.) 8<sup>o</sup>. 45 ct. : 75 fen.

Rozmowa trzynastu mężatek i jednej wdowy. 1887.  
(8 str.) 8<sup>o</sup>. 6 ct. : 10 fen.

Sennik egipski, prawdziwy i stotny. Podług egip-  
skich i arabskich zaświadczeń oraz liczb na lote-  
ryą stawiać się mających z dołączeniem o własno-  
ściach planet i grze loteryjnej. Z obrazkami. 1887.  
(144 str.) m. 8<sup>o</sup>. 30 ct. : 50 fen.

Siła sympatii, czyli wpływu duchowego na organizm  
ludzki i zwierzęcy, jako środek w rozmaitych cho-  
robach i przypadkach bardzo skuteczny. Z do-  
datkiem fizyognomicznych reguł i wskazówek po-  
dług których szybko charaktery, temperamenta

- zdolności i uczucia ludzi poznać można. 1889.  
(60 str.) w. 8°. 40 ct. : 75 fen.
- Śliwka Jan. Książka do czytania i pouczenia się, dla  
każdego. Wyd. II. znacznie pomnożone. 1880.  
(356 str.) 8°. opr. 90 ct. : 1 mk. 60 fen.
- Starosta weselny, czyli zbiór mów używanych przy  
weselach u ludu polskiego na Śląsku austriackim.  
Z obrazkiem: Wesele wiejskie. 1887. (48 str.) 8°. 25 ct. : 50 fen.
- Stolz, ks. Alban. Lekarstwo przeciw obawie śmierci.  
Kalendarz na czas i wieczność, wydany po niemiec-  
ku po raz pierwszy w roku 1843, przetłumaczył  
z 18 wydania Adolf Stiasny. 1882. (150 str.) 8°. 35 ct. : 60 fen.
- Ojciec nasz. Kalendarz na czas i wieczność. Wyda-  
ny po niemiecku po raz pierwszy: część I. w roku  
1845, część II. w roku 1846, część III. w r. 1847.  
Przetłumaczył z 15 wydania Adolf Stiasny. Dla  
ludu pospolitego, jako też dla innych świeckich  
i duchownych osób. 3 tomy. 1884—1887. (420  
stron.) 8°. 1 zhr. 5 ct. : 1 mk. 80 fen., oprawny  
1 zhr. 35 ct. : 2 mk. 30 fen.
- Sypowski, ks. Kazimierz. Kazania w podobień-  
stwach i przykładach na niedziele i święta uro-  
czyste. 2 tomy. 1879. (420 str.) d. 8°. 4 zhr. : 7 mk.
- Szebesta, ks. Walenty, prob. w Wielk. Górkach.  
Tarcza wiary katolickiej, gasi ogniste strzały »Tarczy  
wiary ewangelickiej«, napisanej przez pastora Jana  
Pindóra w Cieszynie. Cena zniżona. 36 ct. : 70 fen.
- Szybkorachmistrz, czyli przewodnik rachunkowy. Nie-  
zbędnie przy kupnie i sprzedaży potrzebny, obliczo-  
ny od 1 do 100 sztuk, od  $\frac{1}{2}$  aż do 99 ct., groszy  
lub fenigów. Z dodatkiem zawierającym tabele za-  
miany nowych miar i wag na stare i odwrotnie, ja-  
ko też zamiany monet i licznych innych pożytecz-  
nych tabel. 1880. (160 str.) form. kieszonkowy. 50 ct. : 85 fen.
- Wilkońska, Paulina z L. Cyganki. Komedyjka  
w jednym akcie. 1884. (20 str.) 24°. 12 ct. : 20 f.
- Dwa śluby. Powieść. Z dodatkiem powiastki „Pró-  
żność ukarana.“ 1879. (82 str.) 8°. 65 ct. : 1 mk.
- Prima Aprilis. Komedia w 1 akcie. 1879. (28 str.)  
8°. 38 ct. : 60 fen.
- Wróżbiarz z kart najdokładniejszy, czyli sztuka

- sobie i innym kabałę układać, jako też sobie i każdemu innemu przyszłość przepowiadać. Zestawiony z pozostałych rękopisów najślawniejszych wróżek i wróżbiarek. Z 36 subtelnemi kartami do ciągnięcia z dokładnym opisem. 75 ct. : 1 m. 30 f.
- Wyrok na śmierć.** Powieść dla katolików. 1887. (16 str.) 8°. 6 ct. : 10 fen.
- Żydowska wojna.** Co żydzi narobili strachu całemu światu. 1887. (8 str.) 8°. 6 ct. : 10 fen.
- Żyd wieczny tułacz z Jeruzalem,** imieniem Ahaswerus. 1887. (16 str.) 8°. 7 ct. : 10 fen.
- Podręcznik prawniczy.** Książka dla ludu, zawierająca: przykłady próśb, podań i skarg w sprawach nie-spornych, spornych i karnych; dalej wzory dokumentów prawnych, świadectw, rewersów, kwitów, poświadczeń, deklaracji, testamentów, pełnomocnictw, kontraktów, zapisów dłużnych, ugód, cesyi itp. z odpowiedniami objaśnieniami; nareszcie dodatki obejmujące: listy, spis wiosek w księstwie Cieszyńskiem według powiatów sądowych i starostw, słowniczek wyrazów prawniczych i administracyjnych. 1883. (304 str.) 8°. opr. 2,60 zł. : 4,50 m.
- Kalendarze:** Kalendarz katolicki 20 ct. : 35 fen.
- Kalendarz polski, powszechny rzymsko- i grecko katolicki, ewangelicki i żydowski, astronomiczny, gospodarski i domowy. 20 ct. : 35 fen.
- Kalendarz Maryański, z wieloma ilustracyami ozdob., format duży 4°. 40 ct.
- Kalendarz do odtańcywania (Block) 60 ct. : 1 mk.
- Kalendarz podkładowy, patentowy, składający się z 26 kart silnej, wybornej bibuły. Format 36/50 cm. 1 zhr. 50 ct. : 2 mk. 60 fen.
- Podziały godzin dla szkół,** w 3 wydaniach: 10 sztuk 6 ct. : 10 fen., 20 ct. : 35 fen., z rysunkami patryotycznymi, 35 ct. 60 fen.
- Schindler, ks. Ac.,** członek towarzystwa przyjaciół muzyki kościelnej. **Chorał,** zawierający harmonijnie ułożone melodye do śpiewów znajdujących się w kancyonalach ś. p. ks. Ant. Janusza (polski), Lehnerta i Onderka (czeskie), tudzież responzorya i przeszło sto przygrywek na organach. 1890. 416 str. w. 4°. Tom I i II 7,50 zhr. : 15 mk., tom III 3 zhr. : 6 m.
- Świadectwo nauki dla przemysłu,** artystycznie litografowane 42 : 53 cm. 30 ct. : 50 fen.



Biblioteka Śląska *Komp.*

*C* 534549

I

*KA*  
Kzg 1 2857/67 100 000

